27. stycznia 1866. Nr. 4. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 168 m. przy ulicy Dominikańskiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

O umiejętnej nauk uprawie.

Przez **Karola Widmana**.

I.

(Ciąg dalszy.)

Gdy przystępujemy do wyjaśnienia umiejętnej uprawy nauk, należy wytłómaczyć, jaka jest różnica między nauką a umiejętnością.

Możemy to krótko wyrazić.

Nauka jest badaniem prawd w którejkolwiek gałęzi wiedzy ludzkiej. Umiejętność jest ujęciem rozumowem prawd zdobytych w nauce.

Zwięzłe to wypowiedzenie wszakże wymaga bliższego wyjaśnienia.

Musimy więc przejść do krótkiego zastanowienia się nad tem, jakiemi drogami dochodzimy do wiedzy prawd naukowych.

Ogólne rozbieranie zasad: co jest wiedza, co jest prawda? nie należy tu. Jest to przedmiotem osobnej nauki i umiejętności znanej pod nazwą filozofji, którym się obecnie zajmować nie mamy. Do naszego celu wystarcza następne wyjaśnienie.

Dwie są drogi, jakiemi człowiek przychodzi do wiedzy naukowej; a raczej — aby się ściślej wyrazić — dwojaki jest sposób, jakim przedsiębierzemy badanie naukowe jakiego przedmiotu.

Jeden z tych jest sposób zmysłowego badania, drugi umysłowy.

Różnica między obydwoma tymi sposobami leży w tem, od czego człowiek zaczyna badanie przedmiotu, który sobie obrał za cel naukowych poszukiwań.

Jeżeli zaczynamy badanie przedmiotu od wysnuwania myśli z umysłu, bez zwracania uwagi na to, co mogą zmysły w tym przedmiocie podawać na uwagę, wtedy nazwiemy to badaniem umysłowem, albo jednem słowem: rozmyślaniem nad rzeczą badaną. Jest to droga abstrakcyjna albo spekulacyjna według wyrażeń obcych.

Zaczynając zaś badanie od tego, co nam zmysły podają na uwagę w jakim przedmiocie, przez dostrzeganie zjawisk podpadających pod zmysły, odrębnie od tego co nam umysł o takowym na myśl podsuwa, przedsiębierzemy badanie zmysłowe i nazywamy to jednem słowem doświadczaniem (drogą empiryczną i eksperymentalną).

Niepodobna wszakże, ażeby badacz w naukach pozostał wyłącznie na jednej z tych dróg, jeżeli ma dojść do jakiego skutku w swoich badaniach. Przechodzi on zawsze od świata umysłowego do świata zmysłowego, a od zmysłowego do umysłowego. Najbardziej odrębne rozmyślanie, najbardziej abstrakcyjne i spekulacyjne filozofowanie, krążące na pozór tylko w odosobnionej dziedzinie czystego myślenia, nie jest ostatecznie niczem innem, jak rozważaniem stosunku myśli do rzeczywistości zmysłowej. Przeciwnie też najgrubsza doświadczalność, czysto zmysłowe na pozór eksperymentowanie kończy się ostatecznie na wyprowadzeniu ze zjawisk zmysłowych jakiegoś ogólnego wniosku, jakiejś myśli. Jest tylko różnica w kierunku czyli porządku badania. Badanie przechodzi zawsze tylko albo od ogólnych pomysłów do szczegółowych rzeczy, albo od szczegółowych doświadczeń do ogólnych wniosków.

Obiedwie te drogi prowadzą do poznania prawdy. Jeżeli znajdujemy, że szczegółowe nasze spostrzeżenia na rzeczach zmysłowych czynione, zgadzają się z ogólnemi pomysłami naprzód powziętymi (*a priori*), wtedy mówimy, że te pomysły się sprawdziły. Przeciwnie też, jeżeli ze szczegółowych spostrzeżeń przychodzimy do ogólnego wniosku, wtedy wniosek zawiera pewną prawdę, której uzmysłowieniem były zjawiska przez nas dostrzegane.

Wszelkiego badania celem jest prawda, chociaż niezawsze jest ona badania rzeczywistą zdobyczą. Prawdą rzeczywistą nazywamy tylko taką, która musi zjednać sobie uznanie powszechne bezwzględne. Większa część prawd zdobywanych przez badaczy ma tylko uznanie względne, t. j. u pewnych osób i w pewnych stosunkach.

Poznanie, do którego badacz którykolwiek przychodzi czy-to drogą myśli sprawdzonej w rzeczywistości, czy to drogą spostrzegania szczegółowego przez wywnioskowanie z niego myśli ogólnej, ma zawsze badacz sam za prawdę.

Inny badacz jednakże, roztrząsający ten sam przedmiot i porównywający prawdy znalezione przez poprzedników swoich z rzeczywistością albo z pomysłami przez siebie już sprawdzonymi, przychodzi często do przekonania, że prawda przez tamtych wyszukana albo zdobyta nie jest prawdą. Stawia on natomiast nową prawdę, która temuż samemu losowi znowu ulega. Zdarza się zresztą, że jeden i ten sam badacz zaprzecza prawdzie przez siebie odkrytej, odwołuje ją albo prostuje. Przeciwnie także zdarza się, że niektóre prawdy znalezione przez jednego badacza zostają stwierdzone przez wielu albo wszystkich badaczy w tym samym przedmiocie. Prawdy takie uzyskają bardzo ogólne a często powszechne uznanie.

Gdy tedy jesteśmy w stanie ogarnąć jednem spojrzeniem cały zakres badania ludzkiego w jednym przedmiocie, znajdujemy cały łańcuch prawd łączących się z sobą albo przez wzajemną sprzeczność, albo przez wzajemne stwierdzanie się lub też wywód jednej z drugiej.

Prawdy te, znalezione na wspomnionych dwóch drogach badania ludzkiego, są albo zasadami albo prawidłami.

Zasadami (principia) nazywamy te prawdy, które poczęte w myśleniu odrębnem (abstrakcyjnem) zostały sprawdzone przez spostrzeżenia w rzeczywistości zmysłowej czynione.

Prawidłami (*leges, normæ*), nazywamy te prawdy, które z spostrzeżeń czynionych w rzeczywistości zmysłowej zostały wywnioskowane i wprowadzone w świat myśli.

Całą iściznę (summę) spostrzeżeń czynionych w rzeczywistości umysłowej, całą zdobycz doświadczenia i pomysłów wysnutych drogą umysłowego badania, owoc rozmyślania a oraz wszystkie zasady i prawidła, zdobyte w jednym i tym samym przedmiocie, stanowi osnowę nauki o tymże przedmiocie.

Weźmy sobie za przykład nauki przyrodnicze, aby uwidocznić ten rozwój nauki.

Mamy badaczów przyrody szczególnie z czasów, gdy doświadczenie w rzeczach przyrodniczych było jeszcze bardzo ubogie, którzy z góry stawiali pewne pomysły o porządku rzeczy w przyrodzie, o przyczynach pewnych zjawisk i sposobach, ja-

kiemi się takowe dzieją, budowali teorje przyrodnicze o tworzeniu się ciał, ich życiu, ruchu (teorje emanacyjne i undulacyjne o świetle, molekularne o składzie ciał, systemy astronomiczne i inne podobne). Doświadczenie sprawdziło niektóre z tych pomysłów, przez co one się stały zasadami nauki.

Mieliśmy znowu innych, którzy nie stawiali z góry żadnych pomysłów o rzeczach i ich przyrodzie, ale wydoskonalali sposób zmysłowego dostrzegania, odkrywali coraz nowe zjawiska, rozpatrywali je, i z nich wyciągali wnioski ogólne o przyczynach tych zjawisk i sposobach, jakiemi się dzieją. Te wnioski są także prawdami, mającemi zawsze w pewnym zakresie swoje uznanie, a dla tego, że określają przyczynę i sposób według jakiego pewne zjawiska w przyrodzie powstają, nazywamy je prawidłami. Tu należą owi praktyczni optycy, co nie wdając się w tłumaczenie z góry: czem jest światło, i w stawianie jakichkolwiek teoryj dochodzą tylko zjawisk dających się na świetle dostrzegać. Ztąd przyszli do ogólnych pomysłów, które stanowią prawidło nauki o świetle bez względu na teorję tłumaczącą jego przyrodę i przyczyny, dla czego jest tak a nie inaczej. Podobnie ma się rzecz z praktycznymi chemikami w porównaniu do teoretyków, którzy tworzyli teorje flogistyczne, antiflogistyczne, atomistyczne i inne. I w tem jest prawda i w tamtem, i ta prawda ulega tak na jednej, jak na drugiej drodze ciągłemu rozwojowi.

Zasady obmyślane naprzód (*a priori*) i prawidła wywnioskowane z doświadczenia (*a posteriori*) stanowią teorję; cały zaś zasób doświadczeń czynionych na zjawiskach zmysłowych, które stwierdzają i stosują zasady albo stanowią podstawę do prawideł są praktyczną stroną nauki.

Teorja jest zatem dwojaka: albo wymyślona, wysnuta z umysłu, albo wywnioskowana z doświadczenia.

Podobnież i praktyką jest dwojaka: albo sprawdzająca i stosująca zasady obmyślane z góry, albo stanowiąca podstawę i materjał, z którego wykwitają prawidła.

Może więc w każdej rzeczy być teorja poprzedzająca praktykę i teorja wynikająca z praktyki czyli będąca jej skutkiem. Zarówno może być w każdej nauce praktyka poprzedzająca teorję i praktyka wynikająca z teorji, czyli stosująca ją do rzeczywistości.

Każda gałęź wiadomości ludzkich tworzyła się sposobem tu wskazanym. Nie w każdej gałęzi wiadomości jednakże są wszystkie jej części jednakowo rozwinięte. Są nauki, w których jest tylko część doświadczalna przeważnie rozwinięta, a część teoretyczna albo bardzo niedostatecznie, albo wcale nie.

Tak mamy w nauce dziejów rodzaju ludzkiego i pojedynczych narodów w ogólności dotychczas prawie wyłącznie tylko stronę doświadczalną obrobioną. A jeszcze i tej obrobienie nie odpowiada w zupełności wszelkim wymaganiom nauki. Ileż to faktów, ileż danych historycznych jest jeszcze spornych między badaczami dziejów? Mamy niezmiernie wielką ilość zdarzeń opisanych, ale nie mamy jeszcze nawet zupełnie dokładnego uporządkowania chronologicznego tych zdarzeń. Są jeszcze na wielu częściach dziejów niedostatki, są wątpliwości.

Chronologia sama, która jest nauką pomocniczą dziejów, jakoby drogoskazem w odmęcie szczegółów dziejowych, oczekuje sama jeszcze ostatecznego uporządkowania. Rozmaite bowiem narody, rozmaici dziejopisarze używają rozmaitych podstaw chronologicznych do porządkowania zdarzeń co do czasu.

Praktyczna zatem część dziejów sama jest jeszcze daleką od wydoskonalenia.

Teorja dziejów jest zaledwie w początkach rozwoju. Jest ona w bardzo niedostatecznych próbach opracowaną przez niektórych nowszych filozofów. W teoretycznem opracowaniu zaś jest bardziej obrobiona część zasadnicza (apriorycznal niż prawidłowa (aposterioryczna).

Prawidłowa część dziejów czyli wyprowadzenie z doświadczenia prawideł, wedle jakich się zjawiska dziejowe rozwijają, jest zaledwie w kilku bardzo ogólnych zarysach wyłożoną, ale nie jest bynajmniej wyczerpniętą.

Te tak ważne części w każdej nauce są tak niedostatecznie jeszcze wypracowane w nauce dziejów, że badanie dziejowe nie stanęło nawet dotąd jeszcze na stopniu nauki rozwiniętej.

Inaczej ma się rzecz z naukami przyrodniczemi, jakkolwiek te są co do czasu młodsze od opracowywania dziejów. Strona doświadczalna, jakkolwiek nader obfita w fakta, jakkolwiek jaśnieje ona niezmiernie bogatym zasobem zjawisk, to jednak jest ta strona nauk przyrodniczych mniej wyczerpana niż w dziejach. Zebranie czynów dziejowych jest zupełniejsze niż zjawisk w przyrodzie. Pochodzi to ztąd, że dla doświadczenia przyrodniczego nastręcza się nierównie obszerniejsze pole niż dla dziejów, bo tamtego dziedziną jest całe stworzenie, tych zaś tylko rodzaj ludzki, który sam jest cząstką stworzenia (universum).

Lecz za to teorja nauk przyrodniczych obfituje w uprawiaczy i w systemy. Niżej będziemy mieli sposobność przekonać się, że nauki przyrodnicze posiadają w niektórych gałęziach nawet umiejętne opracowanie, czego naukom historycznym brakuje. Posiadamy we wielu gałęziach nauk przyrodniczych całe systemy zasad (n. p. w medycynie, geologji, fizyce kosmicznej i innych), i znowu systemy prawideł jak w mechanice, chemji, astronomji; tak, że nauki przyrodnicze obfitują w tych gałęziach w zasób prawd naukowych.

Najniedokładniej opracowane są nauki społeczne. W prawie n. p. wyrobiona jest bardzo obficie jedna część teorji prawa, mianowicie: zasadnicza. Mnóstwo jest systemów zasad prawa.

Prawidłowa część teorji prawniczej nie jest jeszcze wcale, albo jest bardzo niedostatecznie obrobioną. Rozumiem pod prawidłową częścią teorji prawa wyciąganie pewnych ogólnych wniosków z faktycznego rozwoju prawnych wyobrażeń i stosunków, i postawienie takowych jako podstawę prawa.

W polskiem prawie n. p. znajdujemy prawidło podzielności nieruchomego mienia dziedzicznego. Prawidło to jest sprzeczne z prawidłem, które z innych prawodawstw wyciągnąć musimy, t. j. niepodzielności mienia nieruchomego czyli raczej dóbr ziemskich. Te prawidła zostają znowu w ścisłym związku z innemi prawidłami prawniczemi czyli raczej są one wynikiem innych prawideł, mianowicie: równości albo nierówności praw między członkami rodziny. To prawidło zaś jest w ścisłym związku z prawidłem wchodzącem w zakres prawa publicznego, t. j. z uprawnieniem większem lub mniejszem obywateli do udziału czynnego w sprawach publicznych, czyli z większym lub mniejszym rozwojem wolności.

Wysnucie takich prawideł z historji prawodawstw i faktycznych prawnych stosunków we wszystkich narodach byłoby uzupełnieniem teorji prawa, jakiego dotąd bardzo mało posiadamy.

Co do praktycznej strony badania prawniczego znajduje się obfity materjał doświadczenia prawniczego, t. j. zasób zjawisk, jak prawo bywało w różnych czasach i miejscach faktycznie pojmowane i wykonywane. Nie brak także na stosowaniu zasad (principiów) czyli sprawdzaniu pomysłów prawniczych w rzeczywistości.

Jednak do obrobienia dokładnego doświadczalnej strony nauki prawa zabrano się dopiero w nowszych czasach, mianowicie zaczęto opracowywać dzieje prawnych wyobrażeń i prawodawstw. Ale i ta część wymaga jeszcze wiele do wydoskonalenia swojego.

Gdybyśmy wszystkie te strony badania prawniczego posiadali dokładnie opracowane, moglibyśmy powiedzieć, że nauka prawa jest wykończoną. Ale tak nie jest, pomimo że to jest także jedna z niewielu nauk, która w niektórych częściach jest już nawet umiejętnie opracowaną.

Toż samo moglibyśmy wykazać we wszystkich dziedzinach badań naukowych. Każda z nauk po dziś dzień obrabianych cierpi niedostatek w jednej lub drugiej gałęzi badania naukowego. Gdy zaś tylko wyczerpujące opracowanie wszystkich gałęzi badania (teorji, praktyki i materjału do obydwóch) możemy nazwać doskonałą nauką; więc nie można powiedzieć, iżbyśmy posiadali jakąkolwiek naukę zupełnie wyrobioną.

Pomimo tego nie możemy badaniom w żadnej gałęzi wiadomości ludzkich odmówić nazwy nauki, jeżeli tylko jest możność wyrobienia w tejże gałęzi wyżej wskazanych trzech stron badania: zasadniczej, prawidłowej i doświadczalnej.

Jeżeli się zastanowimy nad możnością uprawiania nauk stosownie do ich stopnia rozwoju, to musimy uznać, że bez pewnych stanowczych zasad i prawideł ogólnych dla wszelkiej pracy naukowej, i bez szczególnych odnośnych do każdego rodzaju nauk, nie można w takowych skutecznego uczynić postępu. To jest to, co nazywamy metodą w pracy naukowej, a metoda dopiero nadaje pracy naukowej cechę umiejętną.

Posiadamy już dotychczas w każdej najmniejszej gałęzi naukowej tak wielkie zasoby albo pod względem teorji albo doświadczenia czyli praktyki, że trudno znaleźć jedną z nich, której za pełnemu objęciu mogłyby podołać siły jednego człowieka. Zwłaszcza nie starczą te siły wtedy, gdy zechce zgłębić cały zakres nauki. Jest jednakże możność poznania zakresu nauki jakiej tak, ażeby nie zostać w niej jednostronnym uczniem jednej tylko szkoły zasadniczej, albo powierzchownym znawcą tylko strony doświadczalnej, albo też płytkim badaczem prawideł. Aby tylko jedną z tych stron nauki jakiej należycie zgłębić, trzeba czasu wiele i sił niemało. Nie dopiero gdyby kto chciał zgłębić wszystkie trzy strony nauki. Potrzeba na to współdziałania większej ilości pracujących w jednym i tym samym zawodzie, których prace wzajemnie się uzupełniają. Powinien więc każdy taki pojedyńczy uprawiacz nauki poświęcić się zgłębianiu choćby jakiej tylko gałęzi tejże wyłącznie, to jest co nazywamy specjalizmem. Bez specjalizmu nie masz należytego zgłębienia nauki. Ale specjalizm pociąga za sobą konieczność s t o w a r z y s z e ń   n a u k o w y c h.

Tę kwestję dotknęliśmy tutaj tylko mimochodem raczej dla okazania, jak ogromne leży przed nami pole, aby z uprawy nauk odnieść rzeczywiste korzyści. Przedewszystkiem należy jednak mieć zawsze na uwadze, czego wymaga zupełna i dokładna uprawa nauk, a potem zastanowić się nad sposobami najskuteczniejszemi dokonania tej uprawy.

Powiedzieliśmy poprzednio: czego potrzeba, ażeby uprawa nauk była samodzielną, to zaś, cośmy dotąd powiedzieli dla wyjaśnienia różnicy między nauką umiejętnością, stosuje się do uprawy nauk w ogólności. Wszelako to, czegośmy wymagali do samodzielnej uprawy nauk w jednym narodzie, jest warunkiem wszelkiej pracy naukowej. Zastosowaliśmy tylko powyżej ogólne prawidła tej pracy do naszego narodu.

Uprawa nauk w ogólności wymaga:

1) R o z p o z n a n i a, z e b r a n i a i u s z y k o w a n i a z a s o b ó w n a u k o w y c h, jakie istnieją w każdej gałęzi nauk.

Muszą być przeto wszystkie dotąd utworzone systemy zasad i systemy prawideł zebrane i uszykowane. B ę d z i e t o h i s t o r j a i l i t e r a t u r a t e o r j i w k a ż d e j n a u c e.

Oprócz tego powinna każda nauka posiadać swoją historję praktycznej strony. Będzie to zebranie wszystkich zjawisk i czynów doświadczalnych w każdej gałęzi nauk zbadanych czy to przez stosowanie zasad apriorycznych, czy w celu ustalenia pewnych prawideł, czy też wreszcie (jak jeszcze we wielu naukach się dzieje) bez względu na wszystkie teorje.

Tu należy także wstrząśnienie żywotów i dzieł mężów, których nazwaliśmy powyżej t w ó r c a m i n a u k. Nie budując systemów zakładali tacy mężowie nieraz zasadnicze podstawy do systemów naukowych, których ułożenie było dziełem innych uczniów, uprawiaczy nauk i przewodników w naukach. Przypomnimy tu tylko przykłady Sokratesa i Chrystusa, zresztą żywoty i dzieła reformatów i prawodawców religijnych i politycznych, wojowników, dzieła poetów i artystów gienjalnych, niemniej jak wymowę kościelną i polityczną. Wszystko to stanowi materjał do uprawy nauk.

Zebranie i uszykowanie tego zasobu stanowi część d z i e j o w ą i d o ś w i a d c z a l n ą każdej nauki.

2. Drugą częścią uprawy nauk jest:

Porównywanie wszystkich zasobów naukowych będących w posiadaniu różnych narodów, ocenienie pomysłów, zasad i prawideł podanych za prawdy nie zbite przez twórców albo uprawiaczy nauk w ogóle, i o ile takowe zostały rzeczywiście nienaruszone, stwierdzone lub zbite zupełnie; co systemy lub doświadczalne zjawiska i czyny zbadane przez uprawiaczy nauk różnych czasów i narodów mają między sobą spólnego, w czem się różnią od siebie i o ile brak w pracach twórców lub uprawiaczy nauk nawzajem uzupełniają.

Jest to część rozbiorcza oceniająca czyli krytyczna każdej nauki.

3. Wynikiem (rezultatem) opracowania nauki, dziejowego i zbadania jej doświadczalnej części z jednej, a krytycznego rezebrania i ocenienia całego tego zasobu z drugiej strony powinno być jej opracowanie umiejętne. (Dok. n.)

Dr. Maksymiljana Müllera
profesora akademji Oksońskiej

Odczyty o umiejętności języka.

Dla polskich czytelników przerobił **Bronisław Trzaskowski.**

(Odczyt drugi.)

Umiejętność języka należy do nauk przyrodniczych. — Wzrost języka a historja języka.

(Ciąg dalszy.)

Tu więc widzimy już pierwszą istotną różnicę między historją a wzrostem języka. Może jakiś monarcha zmienić prawa społeczeństwa, formy religji, prawidła sztuki; jest w mocy jednego pokolenia a nawet jednego człowieka wynieść sztukę na najwyższy szczebel doskonałości, z którego ją następne pokolenie stracić, a nowy jeniusz znowu podźwignąć zdoła; wzrost ten i upadek i wszystkie te przemiany zawisły od samowiednej czynności ludzi, a zatem spoczywają one na historycznej podstawie. Porównując utwory Michała Anioła albo Rafaela z posągami i freskami starego Rzymu mówimy słusznie o historji sztuki. Możemy dwu tysiącami lat rozdzielone okresy połączyć dziełami tych, co podanie sztuki od wieku do wieku przekazywali ale nie dostrzeżemy nigdy owego nieprzerwanego i bezwiednego wzrostu, co język Plauta z językiem Danta łączy. Ów proces, którym się język ustala i znowu i rozwija, mieści w sobie dwa wbrew przeciwne żywioły, konieczność i wolną wolę. Chociaż przy tworzeniu nowych wyrazów i form gramatycznych przedewszystkiem osoba (indywiduum) działać się zdaje, jednakowo działa ona dopiero wtedy, kiedy się jej indywidualność we wspólnej czynności rodziny, pokolenia lub narodu, do którego należy, rozpłynęła. Sama przez się nic ona stworzyć nie zdoła; a jakkolwiek pierwszy do nowego utworu popęd od osoby wychodzi, to dzieje się zwyczajnie, jeżeli nie zawsze, bez namysłu a nawet prawie bezwiednie. Osoba jako osoba jest w tej mierze bezsilna, a wszystko, czego na pozór dokazać może, zawisło od praw, ktorych panią jest, i od współdziałania wszystkich tych, którzy wraz z nią jedną klasę, jedno ciało, jedną organiczną całość stanowią.

Lecz chociaż język, jakeśmy o tem dopiero co mówili, smakiem, wyobraźnią albo jeniuszem ludzi zmienić i przeistoczyć się nie da, to jednak nie łatwo wytłumaczyć, co właściwie jest wzrostu językowego przyczyną. Już od czasów Horacego porównywnano zwykle wzrost języka ze wzrostem drzew. Lecz każde porównanie kuleje, jak mówi łacińskie przysłowie. Cóż bowiem wiemy o właściwych przyczynach wzrostu roślinnego, i cóż zyskamy porównując mało zrozumiałe rzeczy z takiemi, które jeszcze mniej rozumiemy? Wielu mówi n. p. o końcówkach

*

czasownika, jakoby ze źródłosłowu podobnie wyrastały jak gałęzie z pni. Lecz cóż myślimy słysząc takie wyrazy? Jeżeli już koniecznie język z drzewem porównać mamy, to porównaniem tem to przynajmniej objaśnimy, że język równie jak drzewo sam przez się ani istnieć ani róść nie może. Bez ziemi, powietrza, wody i światła nie mogłoby żyć drzewo nawet w myśli naszej. To samo dzieje się z językiem. Język nie może istnieć sam przez się i musi on mieć ziemię, na której róść ma, a tą ziemią jest duch ludzki. Mówić o języku, że istnieje sam przez się, żyje własnem życiem, źrzaleje, wypuszcza i obumiera, jestto czczy frazes; a chociaż nieraz przenośnych wyrazów używać musimy, jednakowo zawsze a szczególnie przy badaniach, jak niniejsze, strzedz się należy, aby nas słowa, których używamy w błąd nie wprowadziły.

To, co wzrostem języka nazywamy, obejmuje dwa przebiegi, które zawsze dokładnie rozróżniać należy, chociaż oba razem odbywać się nie mogą.

Przebiegi te nazywamy:

1. djalektycznem odrodzeniem i
2. głoskowym upadkiem.

Zacznę od drugiego jako widoczniejszego, chociaż działania jego rzeczywiście po odrodzeniu djalektycznem następować zwykły. Przedewszystkiem przypuszczam jako rzecz dowiedzioną, że w języku pierwotnie wszystko pewne znaczenie miało. Ponieważ język innego celu mieć nie może, jak tylko wyrażenie myśli, sądzę, iż będzie to wnioskiem poniekąd koniecznym, że język nie mniej ani więcej mieścić w sobie nie powinien, jak tylko to, czego ów cel wymaga. I to z owego celu wypływać się zdaje, że jest rzeczą niepodobną, zmienić którąkolwiek część języka, nie zmieniwszy przez to jej właściwego znaczenia. Jakoż zachodzi to rzeczywiście w niektórych językach. I tak w języku chińskim oznacza *schĭ* dziesięć. Najmniejsza zmiana tego wyrazu czyni go niezdolnym do wyrażenia liczby dziesięć. Gdybyśmy n. p. zamiast *schĭ fšĭ* powiedzieli, toby to już nie dziesięć ale siedm oznaczało. Przypuśćmy teraz, iż podwójną liczbę t. j. dwa razy dziesięć wyrazić chcemy, to musimy w języku chińskim wziąść *eùl*, co dwa oznacza, położyć je przed *schĭ* i powiedzieć *eùl-schĭ*, dwadzieścia. Lecz cośmy wyżej o *schĭ* powiedzieli, to samo się i do *eùl-schĭ* odnosi. Niechbyśmy tylko wyraz ten choć najmniej zmienili, niechbyśmy jednę głoskę dodali lub opuścili, a otrzymamy słowo albo całkiem innego albo żadnego znaczenia. To samo dzieje się w innych językach, co się podobnie jak chiński jednozgłoskowymi czyli pierwiastkowymi nazywają. W języku tybetańskim oznacza *tschu* dziesięć, *nyi* dwa a *nyi-tschu* dwadzieścia, w burmeskim *schi* dziesięć, *nhit* dwa a *nhit-schi* dwadzieścia.

Ale jak stoi ta rzecz w języku słowiańskim, litewskim, giermańskim, albo włacińskim, greckim, zendzie lub sanskrycie? Nie mówi się dwa-dziesięć ani *zwei-zehn* ani *dvi-dása* po sanskrycku. W sanskrycie znajdujemy *vinchati*,*) w zendzie *vîsaiti*, w greckim *eikosi* (po doryjsku *feikati*), w łacińskim *viginti*, w gockim *twai tigjus*, w angielskim *twenty;* w litewskim *dwi deszimti*, w starosłowieńskim *dŭva desęti*, w polskim dwadzieścia. Przedewszystkiem czynimy tu tę uwagę, że w sanskrycie, zendzie, w języku greckim i łacińskim widzimy tylko miejscowe modyfikacje tego samego pierwotnego słowa; gdy przeciwnie angielskie *twenty* jest nowo złożonym wyrazem, a litewskie *dwi deszimti*, starosłowieńskie *dŭva desęti*, polskie *dwadzieścia*, gokie *twai-tĭgjus* i anglosaskie *tuêntig* z osobnych letycko-słowiańskiemu i teutońskiemu językowi właściwych materjałów powstały, co jest właśnie płodem djalektycznego odrodzenia, jak to zaraz zobaczymy.

Widzimy najprzód, że pierwsza część łacińskiego *viginti*, zendyjskiego *vîchaiti*, sanskryckiego *vchati* i greckiego *ei-kosi* (po doryjsku *fei-kati i fi-kati*) tę samą liczbę w sobie mieści, która to liczba z *dvi* na *vi* zeszła. I nie masz w tem nic nadzwyczajnego; wszak łacińskie *bis*, które się jeszcze w muzyce używa, stoi także zamiast pierwotnego *dvis*, (dwa razy) greckie *dis;* odpadło tam *d* a *v* przeszło na *b*. To *dis* zamiast *dvis* występuje znowu w łacinie jako przyimek w znaczeniu »na dwoje roz, a *discussio* n. p. oznaczało pierwotnie tyle co cięcie na dwoje, roz-cięcie. Dyskusja jest to niejako rozcięcie, rozłupanie orzecha na dwoje, aby się dostać do jądra. Greckie *ei* stoi, jak z doryjskiego widać zamiast *fei*, a to zamiast *fi*, co znowu z *vi* powstało. Otóż pierwszą częścią wszystkich czterech powyższych wyrazów jest słowo *vi* czyli *dvi* (dwa) Również dowieść można, że druga część łacińskiego *vi-ginti*, zend. *vî-chaiti*, i greck. *ei-kosi* z tego samego pierwotnego słowa *daka-ti* pochodzi. Dziesięć znaczy po sanskrycku *dachan* z pierwotnego *dakan;* z tąd powstało *dacha-ti*, dziesiątka; to *dacha-ti* zeszło na *chati*, z czego w połączeniu z *dvi* czyli *vi* sanskr. forma *vichati* czyli *vinchati* i zend. *vîchaiti* zamiast *vichati* powstała. W doryjsko-greckiem *feikati* utrzymało się pierwotne *-kati* zamiast *dakati;* to *kati* zeszło w innych narzeczach najprzód na *koti* a potem na *-kosi*. Łacińskie *-ginti* stoi zamiast *deginti*, a to zamiast *decenti* (porównaj *vigesimus* i *vicesimus*), a to zamiast pierwotnego *dakan-ti*.

Zobaczmy teraz tę ogromną różnicę — nie w brzmieniu ale w całym charakterze — jaka między dwoma takiemi słowy, jak n. p. chińskie *eùl-schĭ* (dwa-dziesięć), a owemi jakby skośławiałemi, t. j sanskryckiem, zendyjskiem, greckiem i łacińskiem zachodzi. W chińskiem nie ma ani za wiele ani za mało; słowo przemawia tam samo za sobą i nie potrzebuje żadnego komentarza. W sanskrycie zaś i w pokrewnych mu językach zginęły istotne części obu w skład złożonego słowa wchodzących wyrazów, a reszta jest jakby jaki różnym zmianom uległy agglomerat, który tylko przy dokładnej mikroskopicznej analizie zrozumieć się daje. Oto przykład na to, cośmy wyżej głoskowym upadkiem nazwali, i nie trudno spostrzedz, jak tym upadkiem nie tylko postać ale cała natura języka się zmienia. Skoro się tylko ten głoskowy upadek w jakim języku pojawi, już traci język to, cośmy wyżej za istotne wszelkiej mowy ludzkiej znamię uważali t. j. aby każda jej część miała pewne znaczenie, już zaumiera wtedy poczucie czyli raczej sumienie językowe. Lud, co przed wieki mówił sanskrytem, słysząc i wymawiając *vinchati* tak mało o tem wiedział, że ono właściwie dwa razy dziesięć oznacza, jak dzisiaj Francuz o słowie *vingt*, że się w niem resztki liczby *deux* i *dix* mieszczą, albo Polak o słowie szesnaście, że ono z sześć na dziesięcie powstało. Skoro tylko język tym głoskowym zmianom ulegać poczyna, wstępuje on w nowy zupełnie okres. Jakoż zastęga albo gaśnie zupełnie życie języka w tych słowach lub częściach słów, na których się pierwsze tego przeistoczenia ślady pokazują. Odtąd podobne słowa lub części słów tylko sztucznie albo drogą podania utrzymać się dadzą, a co najważniejsza, występuje teraz po raz pierwszy różnica między istotnemi czyli źródłosłownemi a formalnemi tylko czyli gramatycznemi częściami słowa.

Weźmy teraz inny przykład, na którym się jeszcze jaśniej okaże, jak to głoskowe zepsucie do pierwszego tak zwanych gramatycznych form pojawu prowadzi. Nie zwykliśmy zapewne w liczebniku dwadzieścia podwójnej albo mnogiej upatrywać liczby. Lecz jak tworzono pierwotnie liczbę mnogą? W języku chińskim, który się od samego początku aż po dziś dzień wszelkiemu głoskowemu zepsuciu czyli upadkowi jak najstaranniej opiera, tworzy się liczba mnoga w sposób wcale zmysłowy. I tak człowiek nazywa się po chińsku *ǧin*, całość czyli ogół *kiai;* dodawszy *ǧin* do *kiai* otrzymuje się *ǧin-kiai*, co właśnie liczbę mnogą czyli ludzie oznacza. Są jeszcze inne słowa w chińskiem, które się w tym celu używają n. p. *péi*, klasa. Tym sposobem kładąc po *ĭ*, cudzoziemiec, słowo *péi* otrzymuje się liczbę mnogą *ĭ-péi*, cudzoziemcy. Znany nam zapewne język dziecięcy. I jakże tworzą one liczbę mnogą, której jeszcze nie pojmują? Oto w ten sam sposób jak Chińczycy. Nie mówią one konie, psy, ale koń-dużo, pies-wiele i t. p. Niemieckie *menschengeschlecht*, angielskie *man-kind* jest także podobnym utworem, jak chińskie *ĭ-péi*. Polskie ptas-two jest to samo co ogół, *kiai*, ptaków, a chłop-s-two tyle co

*) Autor pisze *vin-śati*, co według najnowszych badań jak *vinchati* się wymawia.

chłopi. Podobnie postępują inne z chińskim spokrewnione języki. W tybetańskim powstaje liczba mnoga dodaniem słowa *kun*, wszyscy, albo *t'sogs*, mnogość. Nawet liczebniki dziewięć i sto służą do tworzenia liczby mnogiej. I tutaj słowa te, dopóki są zupełnie zrozumiałe i niejako żywe, stawiają opór głoskowemu zepsuciu, lecz skoro tylko poczynają tracić, że tak powiem przytomność umysłu, natychmiast następuje upadek głoskowy, a gdy tenże spustoszenia swe raz szerzyć rozpoczął, pozostaje słowom, które ogarnął, tylko konwencyjny sztuczny byt, i schodzą one powoli na proste gramatyczne końcówki.

Lękam się, że nadużyję cierpliwości czytelników moich, jeżeli w analizę gramatycznych końcówek sanskrytu, tudzież greckiego i łacińskiego języka zapuścić się zechcę, chcąc pokazać, jak te końcówki z odrębnych słów powstały, które z czasem ustawicznem ścieraniem i zużywaniem niejako w proch się rozsypały. Aby jednak wytłumaczyć zasadę głoskowego upadku, przypatrzymy się językom, które bliżej znamy. W odmianie przymiotników polskich uważamy dzisiejsze -ego, -emu, -em, -ej, -ych, -ym i t. d. za przypadkowe same przez się nic nie znaczące końcówki; a jednak nie tylko inne języki słowiańskie, ale nawet sam język polski w najdawniejszych swoich pomnikach okazuje dowodnie, że dzisiejsze dobr-ego, dobr-emu, dobr-ej dobr-ą i t. d. powstało z dobra jego, dobru jemu, dobry jej, dobrę ją, że zatem to, co dziś na prostą końcówkę zeszło, pierwotnie odrębnem słowem było. Albož nie pokazują stare polskie pomniki, że dzisiejsze byłem, byłeś, był, byliśmy, byliście, byli powstało z był jeśm, był jeś, był jest, byli jeśmy, byli jeście, byli są? że zatem jeśm, jeś, jest i t. d. było tu pierwotnie tak odrębnem słowem, jak n. p. podziśdzień w języku niemieckim *gewesen bin*, *gewesen bist*, *gewesen ist* i t d. Weźmy teraz przykład z języka francuzkiego. Uczą gramatycy, że chcąc utworzyć przysłówek, przyczepia się do przymiotnika *-ment;* tak powstaje z *vrai*, prawdziwy, *vraiment*, prawdziwie, z *bon*, dobry, *bonnement*, dobrze. Końcówki tej nie ma w języku łacińskim, ale napotykamy tam wyrazy, jak n. p. *bona mente*, w dobrej myśli. Czytamy u Owidego: *„Insistam forti mente"*, wytrwam silnym umysłem, *j'insisterai fortement. I schall insist with a strong mind or will.* Coż więc zaszło przy wzroście języka łacińskiego albo raczej przy jego przejściu na francuzki? Oto w wyrażeniach jak n. p. *forti mente* nie było już świadomości, że *mente* jest wyrazem odrębnym; wymawiano go więc bez przycisku i prawie niewyraźnie; tym sposobem zamieniło się *mente*, co jest ablatywem do *mens* na *ment* uroniwszy końcowe *e* i zachowało się tylko jako formalny żywioł. Wyszedłszy z używania jako samoistne słowo, zostało jako przyrostek przysłówkowy, a to i w takich nawet przypadkach, gdzie świadomość pierwotnego znaczenia nigdyby na takie użycie nie była zezwoliła. Mówiąc w języku francuzkim, że młot uderza *lourdement*, ani śnimy o tem, że żelazu ciężki umysł przypisujemy. W języku włoskim zatrzymał przyrostek *-mente* swą pierwotną postać głoskową, chociaż i tam świadomość o jego pierwotnej odrębności już dawno zaginęła, a w hiszpańskiem używa się *mente* niekiedy nawet osobno; ale i w takim razie zatarło się już poniekąd pierwotne jego znaczenie. Tak mówi się w hiszpańskiem zamiast *claramente*, *concisamente y elegantemente* wyborniej: *clara*, *concisa y elegante mente.*

Cośmy właśnie jako głoskową zmianę przedstawili, to działało ustawicznie na powierzchnię języka i zmieniało takową; ale trudno sobie nawet wyobrazić, jak dalece się te przemiany posunęły. Pomyślmy, że francuskie *vingt* te same żywioły w sobie mieści, co *deux* i *dix;* że druga część francuskiego *douze*, dwanaście łacińskie *decim* przedstawia; że się łacińskie *triginta*, gdzie *ginta* znowu z *deginta*, a to z *decenta*, a to z pierwotnego *dakanta* powstało, w francuskie *trente* przeistoczyło; że polskie pięć z pierwotnego *kank-ti*, ośm z pierwotnego *akt-mi*, dziewięć z pierwotnego *navan-ti* powstało. Rozważmy dalej, jak dawno to głoskowe zepsucie wtargnąć musiało; albowiem jak francuzkie *vingt*, hiszpańskie *veinte* i włoskie *venti* pierwotniejszego *viginti* domyślać się każą, które się w łacinie rzeczywiście znajduje, tak znowu to *viginti* wraz z greckiem *feikati*, zendyjskiem *vîchaiti* i sanskryckiem *vinchati* wymaga za konieczny warunek jeszcze dawniejszego języka, z którego swój początek wywodzi, a w którym formę *viginti* pełniejsza *dvi-ginti*, a tę znowu jeszcze pełniejsza *dvi-decinti* poprzedzać musiała, która znowu z *dvi-dakanti* powstała, co pierwotnie tak jasnem i zrozumiałem było, jak chińskie *eúl-schî* i ze starych aryjskich słów *dvi*, *dwa* i *dakati*, dziesiątka powstało. To głoskowe zepsucie tak dalece rozkłada wyrazy, że są niekiedy całe wyrazu ciało rozpada i w końcu ledwie drobne szczątki i ostatki pozostają. Tak zeszło sanskr. *svasar* (zam. *svasutar*), polskie siostra, angl. *sister* w narzeczu Pehlvi i w Oseckiem na *cho*. Sanskr. *duchitar* (z pierwotnego *dughitar*), grec. *thygatēr*, celtyckie *doughtar*, goc. *dauhter*, angl. *daughter*, litew, *dukte*, starosłow. *dŭszter* w czeskiem na *dci* a w staropolskiem na *cer*, z czego poźniejsze cera, córa, córka powstało. Ktożby sądził, że angielskie *tear* i *larme* (łza) z tego samego wypłynęło źródła? że w francuskiem *même* tkwi łacińskie *semetipsissimus*, że w *aujourd'hui* łacińskie *dies* nawet dwa razy przychodzi? Ktożby łacińskie *pater* w armeńskiem *hayr* poznał? A jednak o tożsamości *père* i *pater* nikt nie wątpi; ponieważ zaś w armeńskiem nieraz na początku słów *p* na *h* przechodzi, więc także *hayr* i *pater* są sobie pokrewne. Czy uwierzymy, że polskie weź z wez-imi powstało? A przecież tak jest; z całego imi pozostała maleńka cząsteczka, coś nakształt *j*, co się w piśmie kreską oznacza.

Zwykle nazywają to przeistoczenie wzrostem języka; właściwiej atoli ten głoskowej zmiany przebieg zepsuciem albo upadkiem nazwać i tym sposobem od drugiego czyli djalektycznego przebiegu wyróżnić należało, który właśnie badać chcemy, a który, jak zobaczymy, już realniejszą zasadę wzrostu w sobie zawiera.

Chcąc zrozumieć właściwe djalektycznego odrodzenia znaczenie musimy przedewszystkiem porozumieć się co do znaczenia wyrazu djalekt czyli narzecze. Jużeśmy widzieli, że językowi niezależnego bytu przyznać nie możemy. Język istnieje w człowieku, żyje wtenczas, gdy się nim mówi i umiera z każdem wyrzeczonem i już więcej niesłyszanem słowem. Że język pismem ujęto i tym sposobem piśmiennictwo utworzono, to czysty przypadek. Wiele języków nie ma jeszcze po dziś dzień takiego piśmiennictwa. U licznych pokoleń środkowej Azji, Afryki, Ameryki i Polinezji żyje język zawsze jeszcze w stanie natury, w stanie ustawicznego samopalenia i tamto udać się trzeba, jeżeli we wzrost języka ludzkiego, zanim go jeszcze literatura ujęła, zajrzeć chcemy. To, co zwykle językami nazywamy t. j. piśmienną mowę Indjan, Greków, Rzymian, Włochów, Francuzów, Niemców, Polaków, to raczej za sztuczną niż za naturalną mowy ludzkiej postać uważać należy. Prawdziwe i naturalne życie języka tętni w jego narzeczach i pomimo całego tyraństwa, jakiego się dopuszczają na nich tak zwane klasyczne czyli piśmienne języki, jeszcze dalekim, bardzo dalekim jest ów czas, kiedy narzecza nawet tak klasycznych języków jak włoski lub francuski zupełnie wytępione zostaną I w Polsce istnieją obok jednego piśmiennego języka rozliczne narzecza Kaszubów, Szlązaków, Górali, Mazurów i t. p. Około dwudziestu narzeczy włoskich ma pisaną i drukiem rozszerzaną literaturę. Champollion Figeac naliczył najwyraźniejszych francuskich narzeczy czternaście. Liczba nowogreckich narzeczy ma około siedmdziesięciu wynosić, a chociaż niektóre z nich są zaledwie miejscowymi głównych djalektów odcieniami, to przecież nie jedno jak n. p. Tzakońskie nie mniej się różni od piśmiennego języka, jak Doryjskie od Attyckiego. Lecz obierzmy sobie język, który aczkolwiek nie bez piśmiennictwa, przecież mniej uległ wpływom klasycznych pisarzy niż n. p. włoski albo francuski, a przekonamy się zaraz, jak nader bogatym jest wzrost narzeczy. Język fryzyjski, którym w małym tylko okręgu na północno-zachodniem wybrzeżu Niemiec między Skaldą Jütlandją i na pobliskich wybrzeżu temu wyspach mówią, a to od lat przynajmniej dwóch tysięcy zawsze na tem samem miejscu, język ten, co ma piśmienne z 12. wieku pomniki, dzieli się na niezliczone miejscowe narzecza. Kohl pisze tak w pamiętnikach swej podróży: »Nawet najzwyklejsze rzeczy, które w całej prawie Europie podobne mają nazwiska, nazywają

Fryzowie rozmaitych wysp i powiatów całkiem odmiennie. I tak nazywa się n. p. ojciec na wyspie Amrum *aatj*, na Halligach *baba* albo *baabe*, na Sylt *foder* albo *vaar*, w niektórych powiatach stałego lądu *täte*, w zachodniej części Föhru *oti* albo *ahitj*." Chociaż wszyscy ci ludzie tylko o kilka mil od siebie mieszkają, to przecież między nazwami temi większa zachodzi różnica niż między *père*, *pater*, *padre*, *vater* i *father* u Francuzów, Latynów, Włochów, Niemców i Anglików, których przestrzeń stumilowa dzieli. Nawet nazwy okolic i wysp brzmią w każdem niemal narzeczu inaczej; i tak wyspa, którą górnoniemieckim językiem mówiący Fryzowie *Sylt* nazywają, zwie się u samych Syltów *Söl*, u Fryzów z wyspy Föhru *Sol* a na wyspie Amrum *Sal*. Mogą może fryzyjscy uczeni odgadnąć i wytłumaczyć każde z tych narzeczy, lecz rozumieją je zupełnie tylko wieśniacy tego powiatu, w którym panuje. Co więc powszechnie fryzyjsklem językiem nazywają i jako taki po gramatykach tłumaczą, jestto właściwie tylko jedno z wielu narzeczy, chociaż niewątpliwie najważniejsze. To samo tyczy się i innych tak zwanych piśmiennych języków.

Myli się zupełnie, kto wzystkie narzecza za wyród piśmiennego języka uważa. Nawet w Anglji występują miejscowe narzecza w niejednej pierwotniejszej postaci niż język Szekspira, a słownik ich przewyższa w wielu względach słownik klasycznych pisarzy jakiejkolwiek epoki tak obfitością jak i rozmaitością. Narzecza były zawsze raczej źródłowymi strumykami niż ramionami strumienia języka piśmiennego; biegną one długo równolegle obok siebie, zanim który z nich piśmiennem wykształceniem pierwszeństwo nad innymi uzyska. (C. d. n.)

Prorok a robotnik.

Ustęp z nowej powieści J. Zachariasiewicza pod tytułem:

„Po ślubie“ *).

. . . .

Razu jednego przyszedł artysta jak zwykle. Po przywitaniu się z nim posłałam po Natalję. Natalja odpowiedziała, że jest zatrudnioną, ale później przyjdzie; prosiłam tymczasem gościa, aby usiadł.

Nieśmiało obejrzał się w koło i rzekł:

— Pozwoli mi pani korzystać ze sposobności, gdy panią samą zastaję i prosić o pewną łaskę.

Nim jeszcze odpowiedzieć na to mogłam, zwrócił się ku drzwiom i wyszedł do przedpokoju. Za chwilę wrócił z tamtąd z dużym rulonem białego papieru, z którego wisiały fontazie błękitnej wstążki.

Rozwinął papier i z niskim ukłonem położył przedemną.

Była to jakaś kompozycja. Tytuł kompozycji niknął na tle dosadnie piórem rysowanem. Całe tło było podzielone na dwa pola. Jedno przedstawiało burzę z czarnemi chmurami, po których przebiegały jasne strzały piorunowe. Drugie pole było oświecone słońcem i wyobrażało odnogę morską, na której płynęła łódka z białym żaglem.

Na pierwszem tle był napis: *Ja*, potem w arabesce było małe *i* a na drugiej połowie było napisane: *Ty*.

— Więc ta kompozycja ma tytuł: *Ja i ty!* zapytałam.

Artysta się skłonił na znak przyznania. Potem wskazał na lukę w górnych arabeskach i rzekł:

— A tu jeżli pani pozwoli — przyjdzie dedykacja.

— Jestem panu bardzo wdzięczna — odparłam, że pan chcesz mnie wziąść jako kontrabandę do nieśmiertelności — ale nim moje ostatnie słowo w tej sprawie wypowiem, muszę pierwej wiedzieć, co te dwa zaimki mówią do siebie.

Rzekłszy to otworzyłam fortepian i rozłożyłam na nim nową kompozycję. Artysta nie dał się długo prosić albowiem uznał słuszność mego żądania. Siadłam trochę w oddaleniu, aby mu dać jak największą swobodę do wykonania swego dzieła.

Kompozytor siedział czas niejaki w milczeniu i osłupiałym wzrokiem patrzał przed siebie. Zdawało się, że wyczekiwał natchnienia. Twarz jego zmieniała wyraz, brwi ściągały się groźnie, usta drżały... Wreście podniósł jedną rękę, wziął kilka tonów, potem drugą powtórzył te tony w oktawie — znowu przestał — i znowu te same tony, spojone z kwintą wychodziły to z pod jednej, to z pod drugiej ręki...

— Czy znasz pani ten djalog? rzekł do mnie z cicha śród gry — przypominasz sobie pani te zapytania, te odpowiedzi — to wzmianka o złotych snach młodości, o domku rodzinnym...

Dalej urwał mowę, bo trudniejsze pasaże przeszkadzały mu rozmawiać ze mną, muzyką i ustami naraz. Nic na to nie odpowiedziałam, tylko dalej z uwagą słuchałam.

Dosłuchałam się w tej dzikiej fantazji różnych rzeczy. Były tam reminiscencje ze swobodnych melodyj Mozarta, były grzmoty Wagnera i uczuciowe miejsca z Arteta. Było tam także coś domowego, kilka taktów szumki, jakieś echo zapomnianego mazurka i kilka intonacyj hymnu angielskiego. Wszystko to razem tworzyło jakiś dziki chaos; jakby kto czcionki drukarskie pomieszał razem i potem je odczytać kazał.

Biedny artysta aż się spocił przy tej robocie. Długie włosy odgrywały przy tem dosyć trudną rolę. Musiały one stosownie do mniemanych wyrazów muzyki trząść się jak liść w wietrze, to znowu rozwiewały się śród burzy i grzmotów na wszystkie strony, a w końcu ułożyły się do niewinnej fryzury, „*á l'enfant.*“

Cały rozpromieniony, z płonącem okiem wstał od fortepianu i z uczuciem triumfu spojrzał na mnie. Wzięłam kompozycję do ręki i patrząc na kartę tytułową rzekłam:

— Zapewne nie zechcesz pan objaśnić mi tych tonów, tak samo jak portrecista nie pisze nigdy pod spodem portretu nazwiska osoby. Będę więc sama musiała komentować to dzieło pańskie. Najprzód przychodzi mi w pomoc karta tytułowa: To „*ja*“ będzie to istota nader nieszczęśliwa. Pojawia się ona jak małe uśmiechnięte dziecię w tonach pojedyńczych, a przeszedłszy w trzech pasażach do lat młodzieńczych, widzi nad sobą burzę — serca — śród tej burzy, jak majtek śród nocy podnosi wzrok do nieba i błaga o jedną gwiazdę — może na całe życie! Gwiazda wschodzi po okropnościach burzy — za gwiazdą idzie w ślad słońce z pogodą życia — a na cichem morzu cicho niknie łódka o białym żaglu, który prawdopodobnie ukrywa dwie istoty!... Czy tak pan marzyłeś?

Kompozytor poczerwieniał na twarzy. Oczy jego zapłonęły nadzwyczajnym blaskiem, porwał się z krzesła, wzniósł oczy w sufit, a łamiąc ręce zawołał:

— Pani zrozumiałaś, odgadłaś mnie!

— I wszystko to, com zrozumiała i odgadła, chciałabym zniszczyć jednem pociągiem ręki! odpowiedziałam z uśmiechem.

— Czy byłabyś pani tak okrutną? żałośnie zawołał.

— W interesie pana! Czy przyznajesz mi pan jakie prawo do tego?

— Ulegam, z góry podpisuję się na wszystko.

— Więc dobrze. Bądź pan najprzód mi posłusznym, a za posłuszeństwem zawsze idzie nagroda.

— Ślepe posłuszeństwo przyrzekam.

— Mam pana słowo. Otóż najprzód żądam od pana, abyś zmienił tytuł tej kompozycji. Tytuł ten oznacza coś nadto egotycznego. Dzisiaj to nie popłaca. Postąpiliśmy naprzód, a uczucia egotyczne muszą ustępować prawom powszechnym. Dziś jednostki rozpływają się w ogóle. Trzeba więc uderzyć w uczucia wyższe, zbiorowe, które poruszają sercami milionów!...

*) Powieść ta wyjdzie w Warszawie.

Zamyślił się na to artysta. Po chwili daremnego myślenia spojrzał we mnie z zapytaniem. Mówiłam dalej:

— Naprzykład: kompozycja pana jest piękna, ułożona według reguł jeneralnego basu, jak go po konserwatorjach uczą. Ale niech pan przytem zważy, że muzyka nie ma jak książka liter i słów czytelnych. Pojedyńcze tony są to jako hieroglify egipskie, z których każdy uczony to wyczytuje, co sam chce. Otóż od tytułu wszystko zależy! Tytuł inny, podnioślejszy, nada całej kompozycji większą wagę. Z zakamarku egotyzmu wzniesie się do sfery narodowej!

Artysta stał przedemną zamyślony. Długie włosy spadały mu na czoło i ocieniały twarz jego piękną w sposób fantastyczny. Żadnej jakoś myśli nie mógł wydobyć, z tego pięknego czoła. Po długiej chwili ozwał się:

— Alež zmienionemu tytułowi nie odpowie treść kompozycji!

— Przyrzekłeś pan posłuszeństwo, więc ufaj mi.

— Jakiż tytuł inny?

— Tytuł... *„Napad Tatarów!...“*

Podniósł do mnie oczy dawny poczciwy mój ›dzidzi‹ — ale na twarzy mojej nie było ironicznego uśmiechu, jakiego się obawiał.

Uśmiechnął się boleśnie i rzekł z cicha.

— Pani namawiasz mnie do świętokradztwa w świątyni sztuki... a ja w ol ec pani jestem tak słaby!...

W tej chwili usłyszałem kroki Natalji w bocznym pokoju. Równocześnie z drugiego saloniku wychodził Leon. Szybko podałam rękę artyście i rzekłam do niego z cicha.

— Czekam posłuszeństwa!

. . . .

Za kilka dni przyszła znowu do mnie poczciwa hrabina z pakiecikiem biletów.

— Czy hrabina — zapytałam ze śmiechem — każesz mi znowu zbierać dla ludzi talentu?

Uśmiechnęła się i wcisnęła mi pakiecik. Na programie wyczytałam z uśmiechem nowy utwor koncertanta pod tytułem: ›Napad Tatarów.‹ Na samym dole było napisane, że trzecia część czystego dochodu przeznacza się na cele dobroczynne.

Wzięłam bilety i natychmiast udałam się do znajomych. Tym razem mimo klauzuły o dobroczynności nie najlepiej mi poszło. Wykręcano się na różne sposoby od tego ›Napadu Tatarów‹. Zaledwie mogłam połowę biletów rozepchać.

Na drugi dzień odbył się koncert. Zgromadzenie nie było liczne. Zaledwie można było pokryć koszta. Widać, że klauzula o celach dobroczynnych nie mogła zwabić więcej słuchaczy.

Koncert odbył się w porządku jaki był na programie. Kompozytor odegrał utwor swój jak mógł najlepiej. Grał z pewnem rozdrażnieniem, co mu dodawało więcej odwagi i ognia. Wszystko to co było w nutach napisane, oddał podług wszelkich reguł akademicznych, ale cóż po akademji, kiedy tam żadnych myśli nie było?

Publiczność mocno klaskała, bo jest oddawna poczciwy u nas zwyczaj, aby każdemu biedakowi, który na to pole idzie, bodaj rękami przyklasnąć!

Nazajutrz w kronice ›Gazety wieczornej‹ czytałam co następuje:

›Koncert wczorajszy znakomitego naszego ziomka - artysty przewyższył nasze oczekiwanie. Przyczynił się mianowicie do tego nowy utwor jego pod tytułem ›Napad Tatarów‹. To nie były luźne zwykłem piórem powiązane pałki na liniach i między liniami, to nie były owe brawury, jakiemi obdarza nas zagranica, a które tak łapczywie połykamy... to nie było żadne pokłosie na polu naszych pieśni narodowych... to był istny wielki obraz historyczny z prawdziwem tłem pietnastego wieku, z postaciami wydobytemi żywcem z grobu... to była wielka tragiedja narodowa, w której po mistrzowsku były rozdane role a nawet akcesorja... Kto nie widział Tatarów, mógł widzieć w wczorajszym koncercie te dzikie twarze, tych synów puszcz nadmorskich, te przygarbione barki, owe czapki futrzane... mógł słyszeć poświst tych strzałów zatrutych, furczenie arkanów i... jęk jeńców polskich... Ale artysta nie dał nam pół obrazu... cały obraz roztaczał się przed nami. Po łzach i łunach, po krwi i pożarach ozwały się ciche pienia, jakby aniołów zwiastujących pokój...‹

Dalej doczytać nie mogłam, śmiech spazmatyczny ścisnął mnie za gardło i musiałam usiąść, aby się uspokoić.

Po chwili zrobiło mi się smutno. Widziałam, jak najpoczciwszych ludzi mógł ogarnąć wir fałszywy i wyrzucić ich z drogi, na której mogliby być tak wielce pożytecznymi dla społeczeństwa!... Naprzykład ten adept sztuki autorskiej, piszący kronikę w ›Gazecie wieczornej‹, mógłby może wcale ładny obrazeczek napisać dla dzieci o tych dzikich twarzach tatarskich i ich czapkach futrzanych... a sam kompozytor mógłby był z niesłychaną korzyścią...

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju — a kompozytor stanął przedemną. Leon właśnie co był wyszedł a Natalja jak zwykle siedziała w swoim pokoju.

Nie było więc w salonie prócz nas nikogo więcej. Przedemną na stoliku leżał ›Emil polski‹ wujaszka w manuskrypcie.

(D. c. n.)

SŁODKIE WODY.

„Wody, ach wody!“— lud woła w pustyni
Jak głuche echo — głos leci w niebiosy;
„Wody, bo zginiem — niech Bóg cud uczyni
Mojżeszu! rosy — ubłagaj nam — rosy.“

I jak kwiat wiotki — kiedy słońce płonie
I żarem piecze — że się ziemia pali,
Zwiędłe ku ziemi — w dół pochyla skronie,
Żydzi bez wody w puszczy umierali.

Starce jak cienie z błędnym wzrokiem chodzą,
Patrzą po niebie — czy gdzie od zachodu
Chmury nie płyną — co ten żar ochłodzą,
Co choćby w skonie — użyczą ochłody.

Młodsi w rozpaczy — ostatkami siły
Kopią i kopią, twarde łomią skały,
Myślą, że w końcu dobędą gdzie żyły,
Że żony, dzieci będą wodę miały.

A kiedy wreszcie twarz obleją znoje,
I znajdą żyłę — widzą zdrój ochłody,
Spragnionych bieżą ucieszone roje,
Miast słodkich gorzkie znajdują tam wody.

I znowu rozpacz, jakby nocy cienie,
Ogarnia starce — łomie serca młode
I kiedy rośnie ból, żar i cierpienie:
„Mojżeszu, krzyczą, daj nam słodką wodę!

Czyżeś nas po to wywiódł tu, w te strony,
By, zanim słońce powtóre zaświeci,
Wśród bolów, pragnień umierały żony,
Jak w pączku kwiecie usechały dzieci.

Milszą nam była śmierć na polu chwały,
Milszą śmierć w boju od miecza i wroga,
Kiedy nas roty Faraona gnały,
Niż śmierć bez wody — gdzież moc twego Boga.

Mojżeszu, wody — daj nam kroplę wody,
Bo pierś nam ogień piekieł straszny pali,
Mojżeszu, piersiom spalonym ochłody,
Wodzu, litości!“ — konając wołali.

Bolał wraz z nimi — lecz gdy ci w zwątpieniu,
Mojżesz do Boga modły swe zanosi,
Duszę w błagalnem doń pieniu podnosi,
O litość dla nich i o wodę prosi.

I natchnion siłą — nową bożą łaską,
Którą Pan sługi zwykł obdarzać swoje,
W skałę uderzył cudotworną laską,
A życiodajne trysnęły z niej zdroje.

A gdy ku zdrojom lud bieżał w radości,
I gasił żary, chłodził żar pragnienia,
Mojżesz nań wołał — by nigdy ufności
W dzielność bożego nie tracił ramienia.

Stefan Puszczyk.

ŚMIECH CZY ŁZA?

Szczebiotliwe swawolnice
Dwie miluchne, jasnolice
Z kąd? czy z niebios może?
Jedna siała spojrzeń skrami,
Drugiej oczka szkliły łzami
Jak wieczorne zorze.

W oku uśmiech miała złoty,
Druga wieczne łzy tęsknoty,
Z kąd? czy z niebios może?
Łza mi w smutną duszę wpadła,
Pierwsza gwiazdka coraz bladła
Jak wieczorne zorze.

1865. *H. Mierzeński.*

Korespondencje.

Paryż dnia 15 stycznia 1866.

Trzymamy się zasady, iż każdy człowiek powinien pracować w zakresie w jakim go okoliczności postawiły, wyczerpując wszystko a nie pogardzając niczem, najmniejszą sposobnością do pełnienia obowiązków, chociażby na pozór najbłahsze były rzeczy, chociażby korzyść była mikroskopicznie małą; bo z małych rzeczy tworzy się dopiero wielka całość i największe dzieła na świecie składają się z najmniejszych, drobniutkich, niedopatrzonych pierwiastków, a każda praca zbiorowa lub pojedyńczych ludzi składa się z prac tysiąców, co się na wytworzenie jej złożyły. A cóż dopiero mówić o rzeczach widocznych! Rolnik pracujący w pocie czoła, gdyby dla niewielkich zysków, jakie ze swej pracy wyciąga, zaprzestał pracować, kraj by na tem niezmiernie ucierpiał; a złożywszy robotę wszystkich rolników, choć każdy pracuje na małym kawałku ziemi i stosunkowo mały owoc z prac jego dla kraju wynika, ogólnie jednak zależy od tego dobrobyt kraju. Na sumiennem dopełnianiu wszystkich obowiązków przez każdego obywatela spoczywa pomyślność przyszłej chwili, a nawet przyszłe losy kraju. Nikomu nie wolno jest w ten sposób przesądzać wyników prac drobnych, iżby one małą przynosiły korzyść; tak nie jest, albowiem nie zapominajmy, że do tej samej pracy inni są obowiązani, iż przeprowadzać ją będą — a ztąd jedno do drugiego dodane przyniesie wielkie rezultata.

P. Hugon ani wiedział o tem, że ja żyję na świecie, podniósł myśl w nadziei, że znajdzie poparcie, a choćby i tej nadziei nie miał, to widząc całą jej wagę, czuł się w obowiązku wygłosić ją światu. Powitaliśmy ją z żywą radością i uczuliśmy się również w obowiązku serdecznie na nią odpowiedzieć, a zanadto mamy dobre wyobrażenie o młodzi polskiej, abyśmy nie byli pewni, że i inni ją odczują, że zechcą pospieszyć ze swojemi pracami i rzucić myśl swoją pośród innych braci. P. Hugonowi dziękujemy za jego współczucie, jakie w swym liście wyraża i cieszymy się, iż podejmując prace na jednem polu częściej się ze sobą spotykać będziemy i poznamy się choć listownie, zanim okoliczności dozwolą spotkać się nam kiedy. A mamy nadzieję, że taż myśl nie przebrzmi głucho, że prędko zacznie wydawać pożądane owoce. Jużeśmy z przyjemnością odczytali głos z Krakowa, głos bardzo poważny, traktujący rzecz tak jak się ona traktować powinna, a nie tak jak u nas często się zdarza w korespondencjach spotykać się z pustemi słowy, z szumnemi frazesami i oklepanemi formułkami — gdzie żadnej poważnej myśli doszukać się nie można. Takich korespondencji jak krakowska, z duszy i serca życzymy Tygodnikowi jak najwięcej.

Wy tam na miejscu lepiej wiecie, czego pismu potrzeba, co mu najwięcej pomódz może i dlatego chętnie cofamy myśl uprzednio przez nas wypowiedzianą względem niezamieszczania powieści i poezji w Tygodniku. Musimy jednak przyznać się, że obok tych powodów, któreśmy wówczas podali, mieliśmy jeszcze myśl ukrytą t. j. obawę, ażeby Tygodnik, wchodząc na tę samą drogę, na jakiej jest Dziennik Literacki lwowski, nie rozdzielał daremnie sił, boć jeźli w pierwszej chwili ze współzawodnictwa korzyść koniecznieby wynikła, dalej dla braku prenumeratorów, których niestety u nas w Polsce zawsze jeszcze tak mało, jedno z pism upaśćby musiało. Dziś jednak widzimy stanowczą różnicę pomiędzy temi dwoma tak pożytecznemi pismami, widzimy z każdym numerem ulepszenia w obu, i nie tracimy nareszcie nadziei, że Galicja potrafi dwa pisma, poświęcone literaturze i naukom utrzymać. Podnosiliśmy już tę myśl w Dzienniku Literackim i teraz powtarzamy, aby się mogła urządzić w kraju rozprzedaż dzienników pojedyńczemi numerami zarówno w większych jako i w mniejszych miastach, ponieważ biorąc z tego miarę co się na bruku paryzkim dzieje, sądzimy, iżby to znacznie wpłynęło na korzyść pism, gdyż wielu jest takich, którym łatwiej tygodniowo kilkanaście centów wydać, aniżeli od razu kilka guldenów, a o tych pierwszych najwięcej nam dbać potrzeba.

Powiedziawszy to nawiasem wracamy do korespondencji i czujemy obowiązek wyspowiadać się, jak tę rzecz pojmujemy, czego wymagamy od korespondenta. Z natury rzeczy nie można ścieśniać wypowiadania myśli w jakieś ramki; korespondent może pisać o wszystkiem, traktować każdą kwestję, wypowiadać swoje zdanie o tem wszystkiem, co znajdzie godnem uwagi. Lecz tutaj chcemy mówić o specjalnych przedmiotach korespondencji od młodzieży, czego po nich wymagamy, a nasamprzód, jakie jest ich zadanie i jaki z niego pożytek.

Oświata jest tak ściśle ze sobą związana, wszystkie szkoły są tak potrzebne i użyteczne, iż trudno powiedzieć, które z nich są użyteczniejsze. Gdzie nie ma dobrych szkółek ludowych, tam pewno nie ma dobrych uniwersytetów; gdzie nie ma dobrych uniwersytetów, tam nie ma dobrych gimnazjów a więc i szkółek. Ponieważ świetny stan uniwersytetów, doskonałe wykłady, rozwinięte życie między młodzieżą i wielka liczba tejże, co wszystko razem ze sobą idzie i jedno drugiemu zbytecznie wyprzedzać się nie daje — najdoskonalej oddziaływa na stan gimnazjów, zaopatrując je w dobrych nauczycieli, wlewając ducha w uczącą się tam młodzież, wskazując jej kierunek i propagując a raczej po prostu zapędzając jak najwięcej dzieci do szkół. A dalej dobry stan gimnazjów dostarczy liczny zastęp nauczycieli wykształconych naukowo i obywatelsko, dla szkółek wiejskich. Taż młodzież uniwersytetu liczna, wyrobiona w koleżeńskim życiu zsolidarowana z sobą, ma siłę oddziaływania na kraj, wpływania na współobywateli do zakładania i utrzymywania szkółek ludowych, a dopełniając liczby nauczycieli dla nich z pomiędzy siebie ześrodkowuje i łączy w jednym kierunku nabywanie oświaty w całym kraju.

Może się komuś zdawać mrzonką myśl podobna, może ktoś nie dowierzać, aby uniwersytecka młodzież potrafiła tak przeważne zająć stanowisko w kraju, na to odpowiemy, żeśmy widzieli choć w przybliżeniu podobne rezultata prac młodzieży na uniwersytetach moskiewskich. Trudne były okoliczności, bo młodzież była po za krajem, bo z nim bezpośrednie stosunki miała tylko w przeciągu dwóch miesięcy w roku a jednak jak wielki był szacunek uczniów gimnazjum dla studenta uniw. jak każde jego słowo było wysoce cenione przez nich i jak nareszcie staraniem tylko młodzieży, pomimo przeciwieństwa klasy szlacheckiej i

stanowczego zakazu rządu potworzyły się wszędzie szkółki wiejskie — i nie pokaże mi nikt jednego powiatu na Litwie, w którymby przed powstaniem 1863 r. nie istniało kilkanaście albo kilkadziesiąt szkółek staraniem pojedyńczych studentów, ich nadludzką pracą założonych i utrzymywanych. Na tych faktach opierając się, możemy stanowczo twierdzić, że młodzież uniwersytecka jeżeli tylko zrozumie swoje położenie i powołanie, potrafi oddać krajowi olbrzymie usługi. (D. n.)

Lwów dnia 22go stycznia.

W sobotę dnia 20. b. m. odbyło się na uniwersytecie ogólne zgromadzenie Towarzystwa bratniej pomocy, do którego dotąd zapisało się 250 akademików — a zatem tylko połowa. Przystąpiono zaraz do wyboru prezesa i wiceprezesa. Prezesem wybrano p. Ksawerego Berezowskiego słuchacza 4go roku praw, wiceprezesem został p. Bolesław Baranowski słuchacz filozofji. Następnie uskuteczniono wybór 13tu członków wydziału.

Zaraz następnego dnia odbyło się pierwsze posiedzenie wydziału w obecności p. Dr. Pazdiery mianowanego przez rektora kuratorem Towarzystwa. Wydział się ukonstytuował, wybrał sekretarzy i kasjera, uchwalił wydać odezwę do kraju wzywającą o wspieranie młodej akademickiej instytucji przez jak najliczniejsze przystępowanie honorowych członków. Uchwalono oraz urządzić na korzyść Towarzystwa amatorskie przedstawienie.

W ten sposób weszła w życie ta zbawienna instytucja, po której jak najlepszych owoców spodziewać się można. Fundusze Towarzystwa, jak dotąd, wcale są małe: składają się one z szlachetnej ofiary p. Rafała Maszkowskiego, który cały dochód ze swego koncertu wynoszący 349 zł. w. a. przeznaczył na ten cel, i z miesięcznych wkładek członków Towarzystwa za pierwszy miesiąc. Spodziewać się jednak należy, iż fundusze te wkrótce znacznie się powiększą, skoro tylko kraj zainteresuje się sprawą Towarzystwa. Początek do tego dał szanowny kurator Towarzystwa p. Dr. Pazdiera przez przystąpienie do Towarzystwa jako członek honorowy i Dr. Zygmunt Rieger, który ofiarował bezpłatną lekarską pomoc uboższym słuchaczom uniwersytetu polecanym mu przez Wydział Towarzystwa. Za szlachetny ten czyn Dr. Riegera wyrażamy mu w imieniu akademji najgłębszą wdzięczność.

Statut
Akademickiego stowarzyszenia „Bratniej pomocy“ na uniwersytecie lwowskim.

1.

Celem stowarzyszenia jest: wspieranie potrzebujących, pilnych i nieposzlakowanych słuchaczy uniwersytetu.

2.

Stowarzyszenie składa się z zwyczajnych — nadzwyczajnych i honorowych członków. Zwyczajnym członkiem stowarzyszenia jest każdy zwyczajny i nadzwyczajny słuchacz uniwersytetu; nadzwyczajnym zaś członkiem stowarzyszenia jest każdy rygorozant, na uniwersytecie aż do dwóch lat po ukończeniu nauk, jeżeli najmniej 25 kr. w. a. miesięcznie do kasy stowarzyszenia składa. Honorowym członkiem stowarzyszenia staje się każdy, kto od wydziału stowarzyszenia za członka przyjęty zostanie, przy wstępie wkładkę najmniej 5 zł. w. a. złoży i rocznie najmniej po 10 zł. w kwartalnych z góry opłacać się mających ratach, do kasy stowarzyszenia płacić się obowiąże.

3.

Fundusz stowarzyszenia stanowią:

1) Regularne wkładki członków zwyczajnych, nadzwyczajnych i honorowych.
2) Zwroty rozdanych zapomóg.
3) Dobrowolne wkładki.
4) Inne dozwolone źródła jako to: Dochody z balów, loteryj, które na ten cel z przestrzeganiem prawnych przepisów przedsiębrane będą.
5) Odsetki kapitału stowarzyszenia.

4.

Połowa wszystkich dochodów używa się na zapomogi dla słuchaczy; z drugiej połowy kapitalizuje się tymczasowo dwie trzecie w galicyjskich listach zastawnych a odsetki używają się na cele stowarzyszenia t. j. na wspieranie uboższych słuchaczy; pozostała trzecia część rozpożycza się według §. 13.

5.

Ponieważ fundusz stowarzyszenia zrazu znacznym nie będzie, przeto §. 4. może dopiero po upływie dwóch lat wejść w wykonanie; aż do tego czasu kapitalizują się tylko wkładki członków honorowych.

6.

Ogólne zgromadzenie wszystkich zwyczajnych członków stowarzyszenia wybiera ze swego koła na rok jeden prezesa, wiceprezesa i tyle członków do Wydziału ile razy liczba 20 w ogólnej sumie wszystkich zwyczajnych członków jest zawartą.

7.

Prezes i wiceprezes mianują z pomiędzy członków wydziału 1go i 2go sekretarza; cały wydział wybiera resztę urzędników z pomiędzy zwyczajnych członków stowarzyszenia.

8.

Każdy wydziałowy zbiera od zwyczajnych i nadzwyczajnych członków stowarzyszenia wkładki, których najniższa kwota wynosi miesięcznie 25 ct. w. a. i które najdalej do 7go każdego miesiąca z góry od członków stowarzyszenia w całości złożone być muszą.

9.

Każdy wydziałowy jest obowiązany, bądź sam, bądź za pośrednictwem swoich kolegów dowiedzieć się w sposób nieubliżający o prawdziwie potrzebujących, poznać ich położenie i charakter i przedłożyć rezultat tego na najbliższem posiedzeniu Wydziału.

10.

Prawo do zapomogi lub wzięcia pożyczki z funduszu stowarzyszenia mają.

a) wszyscy potrzebujący zwyczajni i nadzwyczajni słuchacze;
b) doktorowie któregokolwiek fakultetu, jeźli przynajmniej dwa ostatnie kursa na uniwersytecie słuchali, przez dwa lata po ukończeniu nauk uniwersyteckich.

11.

Udzieloną przez Wydział zapomogę wręcza dotyczący wydziałowy swemu koledze za pokwitowaniem.

12.

Zapomożeni przyjmują moralny obowiązek otrzymane kwoty zwrócić według możności przed lub po ukończeniu nauk uniwersyteckich.

13.

Wzmiankowana w §. 4. trzecia część sumy, mającej się kapitalizować, pozostaje gotówką w kasie stowarzyszenia, aby mogła być użytą na pożyczki w kwotach najwięcej 25 zł. w. a. wynoszących. Pożyczki te mają być zwrócone najdalej do 3 miesięcy ratami lub w całości z 6%.

14.

Rozdawaniem pożyczek trudni się osobny Wydział, składający się z wiceprezesa, drugiego sekretarza i pierwszego członka Wydziału, który poleca swego kolegę do dania mu pożyczki. W wątpliwych razach rozstrzyga Wydział jako ostatnia instancja.

15.

W pierwszej połowie miesiąca zwołuje prezes stowarzyszenia członków Wydziału na zwyczajne posiedzenie. Oprócz tego przysłuża mu prawo w razie koniecznej potrzeby równie jak i w skutek postanowienia większości Wydziału zwołać nadzwyczajne posiedzenie.

16.

Na posiedzenie Wydziału zaprasza prezes kuratora stowarzyszenia i wszystkich wydziałowych.

17.

Do ważności postanowień Wydziału potrzeba obecności przynajmniej dwóch trzecich części członków.

18.

Wydział jest obowiązany na ogólnem na początku każdego roku odbyć się mającem zgromadzeniu zwyczajnych członków stowarzyszenia zdać sprawozdanie z całorocznych swych czynności, przedłożyć potrzebne uzupełnienia lub zmiany statutów i zarząd spraw stowarzyszenia oddać w ręce nowo wybranego Wydziału. Na to zgromadzenie zaprasza się także członków nadzwyczajnych i honorowych.

19.

Wszystkie usługi czynione od słuchaczy w interesie stowarzyszenia są obowiązkiem koleżeńskim.

20.

Stowarzyszenie stoi pod opieką kuratora wybieranego corocznie przez rektora z grona profesorów, który ma zapobiegać wszelkim wykroczeniom przeciw statutowi i prawu.

21.

W razie rozwiązania stowarzyszenia przechodzi jego kapitał na własność funduszu szkół ludowych, z przeznaczeniem zakładania szkół ludowych we wschodniej Galicji.

22.

Zmiany w tych statutach mogą być w każdym czasie przedsiębrane, jeżeli tego zażądają dwie trzecie zgromadzonych zwyczajnych członków. Zmiany te muszą jednak, aby miały ważność, otrzymać potwierdzenie rządu.

Skarbniczka dziejów i rzeczy polskich. Napisał Łucjan Tatomir. Część druga: Dzieje Polskie. Tom I. Lwów 1866. 8vo. str. XIII — 394.

Po wyjściu pierwszej części Skarbniczki z upragnieniem oczekiwaliśmy dalszych jej tomów, pewni, że będzie to książka bardzo dla młodzieży pożyteczna.

Wyznajemy, iż obecny tom Skarbniczki braliśmy do ręki z pewnem niedowierzaniem. Tyle już mamy kompendjów dziejów Polski, dla młodszej i starszej młodzieży, dla dziewcząt, dzieci, dla ludu wiejskiego a tak trudno spotkać się z książką, którąby odpowiadała zupełnie potrzebom młodzieży mającej już pewne przedwstępne wiadomości, z książką, która choć popularna stałaby przecie na stanowisku najnowszych badań, i sumiennie zebrane rezultata tych badań podawała czytelnikom w przystępnej formie. Przy zjawieniu się każdej takiej książki wszyscy z oczekiwaniem o nią się rozpytują, wszyscy spodziewają się, że będzie ją można użyć do nauki młodzieży — a w końcu w nadziejach tych czują się zawiedzionymi.

O książce p. Tatomira nie można tego powiedzieć. Choć może co do samego układu dzieła niejeden będzie można zrobić zarzut, choć ono może w niejednym kierunku wyda się niewyczerpującem — mimo to jednak twierdzimy śmiało, iż Dzieje Polski p. Tatomira do najlepszych książek w tym rodzaju można zaliczyć i można je sumiennie polecić całej młodzieży i wszystkim, którzy trudniąc się nauką młodzieży, daremnie oglądają się za dziełem, mogącem być podstawą nauki Dziejów Polski. Zresztą w dalszym ciągu naszego sprawozdania poznamy, iż wiele usterek i braków dzieła, o którem mowa, są winą nie p. Tatomira, ale niedostatecznego dotąd zbadania pojedyńczych części dziejowego naszego życia.

Zobaczmy najprzód, czego postępowe dziejopisarstwo żąda od autora, przedstawiającego całokształt dziejów jakiego narodu.

Dziejopisarstwo przez bardzo długie czasy błędnemi szło drogami. Do niedawna jeszcze miała Europa dzieje państw, wojen, dzieje panujących rodzin, kościoła — a nie miała dziejów narodów. Epoka nowszego dziejopisarstwa, które przedstawia wewnętrzne życie, wewnętrzny narodów rozwój — od bardzo niedawna się datuje. Jedni z dawnych historyków widzieli tylko panujących, widzieli w ich ręku ster i kierunek spraw narodowych — widzieli w nich słońca, około których wszystko się kręciło, których wola była w narodzie wszechwładną; nic więc dziwnego, że pisząc dzieje główną na nich zwrócili uwagę i pisali dzieje panujących rodzin. Inni — stojąc na wyłącznie kościelnem stanowisku, widząc w kościele główną siłę narodu i państwa, prawie wyłącznie oddali się sprawom kościoła i chcąc pisać dzieje narodu, pisali właściwie żywoty świętych, dzieje kościelnych dygnitarzy, zborów i zjazdów duchownych — pisali dzieje kościoła. Inni znowu — a takich było najwięcej — widząc iż losy narodów zależą po wielkiej części od zewnętrznych ich politycznych stosunków, zależą oraz od mniej lub więcej szczęśliwie prowadzonych wojen — zrobili z swych dzieł dzieje politycznych stosunków narodów, dzieje ich zwycięztw i klęsk wojennych.

Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, gdy w ogóle narody więcej się poczuły w własnej sile, gdy się przekonano, iż losy ich nie leżą w ręku pojedyńczych ludzi przybranych w płaszcze królewskie, zaczęto w pisaniu dziejów więcej zwracać uwagę na wewnętrzny stan narodów, pomijając to, co jest w dziejach mniej istotne.

Mimo jednak, iż zwrot ten jest już stanowczy — daleko tu jeszcze do zupełnie zadowalniających rezultatów. Gdy z postępem wiedzy ludzkiej nauka coraz to nowe odkrywa prawa, na których zbudowany świat przyrodzony i świat ludzki, gdy z postępem tym coraz bardziej się przekonujemy, że dzieje narodów zależą nietylko od samych ludzi, ale w wysokim stopniu oraz i od stosunków klimatycznych i gieograficznych, wśród których naród się rozwija i żyje — przeto i wymagania stawiane dziejopisarstwu coraz to się mnożą.

Tak jak w badaniu przyrody, tak też i w badaniu dziejów podstawą metody musi być prawo wszystkich przyczyn. Zjawisko jakieś można należycie pojąć, gruntownie ocenić i zrozumieć dopiero wtedy, gdy się pozna wszystkie wpływające nań przyczyny. Tak jak w przyrodzie każdy objaw jest wynikiem wspólnego działania wielu sił, z których jedna modyfikuje działanie drugiej, tak iż wyniku zrozumieć nie można, jeżeli się wszystkich przyczyn nie zna; tak samo w dziejowem życiu narodów każdy objaw jest wypływem wielu przyczyn, które muszą być poznane, jeżeli chcemy przyjść do należytego zrozumienia rzeczy. Prawidłowość, będąca podstawą ustroju całego świata, objawia się oraz i w życiu dziejowem. Całe to życie jest nieprzerwanym łańcuchem przyczyn i skutków — odszukać zatracone tego łańcucha ogniwa, które w przebiegu wieków okryły się mgłą niepamięci — dostrzedz działające na naród wpływy i odkryć ich wyniki — oto wielkie zadanie postępowego dziejopisarstwa.

Pierwsze narodu początki, pierwsze kształty, w jakie się społeczeństwo obleka, zależą wyłącznie od przyczyn klimatycznych, od gieograficznego położenia ziemi, którą naród zamieszkał. Przyczyny te działają na pierwotny ekonomiczny stan narodu, działają oraz i na umysł jego (Buckle). Z tych ekonomicznych przyczyn wynika dalej forma rządu, jaką naród przyjmuje, wynika jego prawodawstwo, które musi odpowiedzieć tym stosunkom; umysłowość narodu wyrabia sobie dalej religję i literaturę, na których wpływ klimatycznych stosunków zawsze jest bardzo widoczny; religja i literatura w dalszym przebiegu rzeczy wpływają na prawodawstwo. Położenie gieograficzne utwarza stosunki polityczne do sąsiednich narodów.

W zakres dziejopisarstwa wchodzi przeto poznanie działania wpływów klimatu i położenia gieograficznego, rozpoznanie prawodawstwa, literatury, wyobrażeń religijnych, ekonomicznego stanu narodu, stosunków wreszcie zewnętrznej i wewnętrznej polityki.

Tylko na takiej podstawie oparte dziejopisarstwo może do zadawalniających doprowadzić rezultatów, może dać wierny i dokładny obraz rozwoju narodu, — może się stać umiejętnością w prawdziwem tego słowa znaczeniu.

Oto jest miara, którą przykładać będziemy do każdej historycznej pracy, z której będziemy zdawać sprawę w naszem piśmie.

Wracając teraz do Skarbniczki p. Tatomira twierdzimy, iż autor starał się dosyć zbliżyć do tego ideału postępowego dziejopisarstwa. W niektórych względach stał mu tu na przeszkodzie niedostateczny jeszcze stan dziejopisarstwa naszego w ogóle, brak należytego opracowania materjałów, brak gruntownego rozpoznania niektórych stron dziejowego naszego życia. W innych rzeczach znowu wina cięży na samym autorze.

A najprzód nie zapominajmy o tem, iż jak sam p. Tatomir przyznaje dzieło jego jest popularną kompilacją.

Stanowisko swoje najlepiej określił autor sam w przedmowie. Powiada on:

„Nie kusił się autor bynajmniej o zbudowanie dzieła oryginalnego na podstawie studjów źródłowych i samoistnych badań, ani nie starał się o rozwijanie nowych filozoficznych poglądów na dzieje. Zadaniem

jego było jedynie korzystać ze wszystkiego, co uczeni badacze w swych dziełach o historji narodowej naszej spisali, i przedstawić rezultaty mozolnej ich pracy w kompendjum treściwem i przystępnem ogółowi czytelników i uczącej się młodzieży.

„Pochlebia sobie wszelako autor, że tacy czytelnicy, których nie jest zadaniem rozczytywać się w dziełach historycznych poważniejszych, a tem mniej w źródłowych specjalnych monografjach, i którzy tylko z książek podręcznych czerpią swe wiadomości o dziejach polskich — znajdą w niniejszem kompendjum wiele nowych dla siebie rzeczy. Wyznać bowiem należy, że wszyscy niemal nowsi kompilatorowie dziejów Polski nie zbyt szumiennie z prac uczonych badaczów dziejów korzystali. Owszem niektórzy z tych pisarzów zdaje się jakoby mieli nieprzezwyciężony wstręt choćby tylko zajrzeć w dzieła źródłowe i jakoby sobie poczytywali za świętokradztwo przyjąć w swe książki nowsze jakie odkrycie, lub świeższy i śmielszy cokolwiek pogląd na rzecz. Dla nich od czasów Naruszewicza znawstwo dziejów ani krokiem nie postąpiło naprzód.... Zaiste, jest to jakiś przedziwny konserwatyzm, który niczem wytłumaczyć się nie da, ani usprawiedliwić, a który pielęgnować z religijnem poszanowaniem mają sobie niejako za obowiązek pisarze książek elementarnych i ludowych o dziejach Polski. Posuwają oni gorliwość swoją w tym kierunku tak daleko, że czasami umyślnie skrzywiają fakt jakiś, fałszywemu podsuwają znaczenie, aby módz zeń w końcu jakąś moralną wyprowadzić nauczkę. A przecież popularyzować dzieje nie jest to jedno, co paczyć je, jak również celem najpopularniejszej nawet książki nie jest przeistoczenie historji w ckliwą papkę moralnych bajeczek."

„Autor baczył pilnie, aby książkę swoją z podobnych błędów oczyścić, starając się ile było w możności jego o postawienie jej na stanowisku odpowiedniem dzisiejszej krytyce i dzisiejszemu rozwojowi nauki dziejów.... Niemniej usilnie starał się autor o to, aby w zapatrywaniu się na cały tok dziejów, a szczególniej na niektóre kwestje drażliwe, być ile możności niezawisłym i nie dać się żadnymi ubocznymi względami sprowadzić z drogi prawdy, która jest alfą i omegą dziejopisarstwa."

P. Tatomir utrzymał się zupełnie na stanowisku określonem w przytoczonym wyżej ustępie przedmowy. Dzieło jego jest popularnem, przystępnem dla wszystkich; ale utrzymuje się na wysokości najnowszych badań. I to też jest największą jego zaletą. P. Tatomir z wielką znajomością rzeczy z badań tych skorzystał i wyniki ich przedstawił czytelnikom w przystępnej, ozdobnej postaci. (D. n.)

TEATR POLSKI.

Dnia 19 stycznia odegrano po raz pierwszy na scenie naszej komedję w trzech aktach z prologiem przerobioną z francuskiego pod nazwą: Sztuka i handel. Niewymienionym autorem francuskim są pp. Amadeusz Roland i Jan du Boys, a utwor oryginalny francuski jest w pięciu aktach pod tytułem „Le marchand malgré lui (kupiec mimo chęci).

Już z samego tytułu jest widoczna, iż założeniem tej komedji ma być walka między sztuką a handlem, między ideałem a rzeczywistością. Postacie na widownię występujący, rozdzielają się na dwa te przeciwne obozy. Kierunek idealny reprezentują Klemens i Leon, rzeczywistość Laura i Daniel.

Klemens jest to stworzenie tuzinkowe, nader niedołężne. Autor nazywa go wprawdzie tworczym, mówi: iż nieba dały mu siłę; lecz w rozwoju sztuki nie można się nigdzie tych szczytnych przymiotów dopatrzyć. — Po krótkiej rozprawie z wujem decyduje się sprzedawać — pieprz; wiedząc jak najpewniej, iż Klandyna nie kocha i kochać nie może Daniela, poświęca szczęście jedynej swej pieszczotki i oddaje ją w ręce — grzyba; niedomyśla się o miłości Leona w chwili, kiedy takowa przestała już być tajemnicą i cały dom już o tem wie; chwiejny, ciągle powodowany okolicznościami, zły kupiec, zły ojciec familji, niezadowolniony nudnik wzdychający do utraconej wolności, która według własnego jego pojęcia jest życie z komfortem nieprzywiązujące do ciągłej pracy. Artyzm i powołanie do sztuki jest w gruncie rzeczy tylko czczą imaginacją wyrodzoną dziwaczno-niedołężnym nastrojem jego umysłu.

Więcej już udatną postacią jest drugi apostoł sztuki Leon; przedstawia atoli zanadto słabo charakter artysty. Żegnamy go w prologu jako młokosa wstępującego w życie, a witamy w pierwszym akcie dojrzałego już mężczyznę, po cierpkich doświadczeniach życia, po burzy gdzie ideały i rzeczywistość już się zrównażyły. Występuje jako konkurent Klandyny — kocha się zbyt po młodzieńczemu, a stara się o rękę swej bogdanki nader niezgrabnie.

Przeciwny obóz reprezentuje Laura — charakter dosyć konsekwentnie przeprowadzony, atoli nie polski, żywcem pożyczony z orygimału francuzkiego. Możemy zapewnić autora, że z serca kobiety polskiej wyciśnie zawsze więcej niż — dodawanie, że pożycie rodzinne w tychże klasach średnich polskiego społeczeństwa jeszcze na trwalszych i szlachetniejszych polega podstawach, że matka i żona polska choćby najwięcej wyrachowana nie upatruje z takim bezwstydem w złocie wszelkich rozkoszy pożycia małżeńskiego.

Tenże sam zarzut trafia i Onufrego.

Najszczęśliwiej scharakteryzowane są Klaudyna i Daniel. Klaudyna jest najsympatyczniejszym typem dziewicy polskiej, przeczystej duszy, pełnej uroku anielskiego — jakkolwiek na swój wiek i stosunki wychowania może zanadto poetycznie nakreślonym. Daniel zaś sługi wiernego — lecz nie buchhaltera.

Postacie te wprowadza autor w szranki. — Zobaczmy, czy uczynił zadosyć założeniu, czy usprawiedliwił tytuł komedji. — O Klemensie powiedzieliśmy już, że charakter jego nie zdoła ująć dla siebie widza, że trzepotanie się jego w więzach, które sobie sam dobrowolnie nałożył a w każdej chwili w rozsądny sposób zerwać może, nie potrafi przedstawić walki ideału z rzeczywistością.

Równie niezręcznie postępuje sebie autor i z Klandyną. Ona ma stać się ofiarnym barankiem, jej szczęście ma się rozbić o zimne wyrachowanie matki. W rzeczy samej atoli dzieje się inaczej. Nie matka kramarka, lecz ojciec artysta, jego niedołęztwo i kurcza ślepota sprowadza nieporozumienie, i ono, nie handel zagraża szczęściu kochanków. Zkąd tedy tytuł „Sztuka i handel", pocóż to przeciwstawienie?

Najrozsądniejszym niezawodnie charakterem jest Daniel, kramarz, wprawdzie nie artysta, pojmujący atoli rzeczy jasno i w rzeczywistem świetle, i on też przychodzi w pomoc temu światowi ideałów. — Sztuka zwycięża na scenie, w rzeczywistości atoli zostaje upokorzoną.

Niemniej dziwacznem jest i zdanie autora, wypowiedziane w pierwszym akcie ustami Leona „że porzucenie muzyki przez Klemensa jest sprzedaniem talentu — podłością". Czyż każdy bowiem, kto czuje w sobie zamiłowanie do sztuki, musi się stać koniecznie artystą? Wiele mielibyśmy natenczas artystów partaczów, a mało prawdziwych miłośników sztuki.

Drugim kardynalnym błędem jest brak motywów dramatycznych, brak tej ścisłej logiki faktów, gdzie każda scena jest uzasadnioną, gdzie nie masz skutku bez przyczyny. Błąd ten wypływa przeważnie ze źle nakreślonych charakterów, a właściwie z niezdrowej już koncepcji samego utworu. Klaudyna rozkochana mienia ideał wymarzonego kochanka za starego i brzydkiego Daniela, po krótkiej rozprawie z matką, i taji się z swem nieszczęściem przed ojcem, który ją jak najuroczyściej zapewnia, iż jedynie jej szczęścia pragnie; nie zawiadamia o ojca przyjaznem usposobieniu Leona, któryby w objęciach przyjaciela lat dziecinnych wygodnie mógł wyznać, iż kocha jego córkę. Leon nieznajdujący wymarzonego szczęścia w pożyciu domowem, w zajęciu codziennem zaspokojenia nie siada przez lat 18 do klawikordu, by się pocieszyć tonami harmonji. Daniel stary, rozsądny i przywiązany do rodziny, chce być małżonkiem Klaudyny!

Z tych to powodów brakuje utworowi na prawdziwem życiu dramatycznem, a widz nieprzekonany o prawdopodobieństwie rozwijających się scen, nie może wziąć nigdzie głębszego udziału, wyjść ze stanowiska biernego spektatora.

Nie zbywa jednak komedji naszej i na stronach dodatnych. W teraźniejszych czasach, gdzie liche ramoty wątpliwego sensu i morału są prawie codziennem naszej publiczności teatralnej pożywieniem, witamy z radością utwór, który szlachetniejsze dotykając strony życia, wyższe zakreślił sobie tendencje. Prześliczna jest przytem i dykcja, język czysty, wiersz gładki, myśli prawdziwie wzniosłych i poetycznych wiele. Nie można też odmówić autorowi i zręczności w kombinacji sytuacyj i kreśleniu charakterów. (D. n.)

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— O nowem dziele J. Kraszewskiego „Kartki podróży od 1858 do 1864 r., podaje Warszawski Tygodnik ilustrowany bliższe szczegóły. Podróż ta obejmuje: Kraków, Wiedeń, Triest, Wenecję, Padwę, Medyolan, Genuę, Pizę, Florencję i Rzym.

Treść dzieła jest bardzo różnorodną i właśnie przez to urozmaicenie zajmującą. Przeważają tam głównie sprawozdania z wrażeń przez dzieła sztuki wywołanych. Nie są to zbieraniny i kompilacje na oślep nieraz podawane, do których nas niektórzy niesumienni podróżopisarze przyzwyczaili, ale sprawozdanie z wrażeń osobiście doznanych i objawy przekonania z własnych czerpanego studjów. Wszystko zaś krasi wielki wdzięk stylu i prawdziwie encyklopoetyczny ogrom wiadomości. Czytelnikowi, który tak łatwo z zajęciem przegląda te karty zdawałoby się może, że autor kreślił go lekko i jakby od niechcenia, a jednak ileż to nauki ile wykształcenia artystycznego potrzeba, żeby tak podróżować i takie ze swoich podróży wyciągnąć owoce. „Kartki podróży" mają tę wyższość nad wszelkiemi zagranicznemi opisami tego rodzaju, że autor w swoim punkcie zapatrywania się pozostaje zawsze na stanowisku narodowem, a w ten sposób lepiej i zrozumialej przemawia do naszych przekonań.

— Jak się dowiadujemy z Warszawy: ma się pomnożyć grono profesorów tamtejszej szkoły głównej o dwóch członków. Aleksander Tyszyński objąć ma katedrę literatury polskiej a Dominik Zieliński katedrę prawa handlowego.

Nazwisko Tyszyńskiego zaszczytnie jest znane jako gruntownego znawcy sztuk pięknych i sumiennego krytyka. W latach 1830, 1840, należał on do rzędu tych pisarzy, którzy dali pierwsi hasło do rozbudzenia piśmiennictwa narodowego. Następnie pisywał przez dłuższy czas rozbiory literackie i naukowe do Biblioteki warszawskiej.

— Zasłużony nakładca poznański, J. K. Żupański, ogłosi wkrótce tom nieznanych poezji J. B. Zalewskiego.

— Księgarz Merzbach wyda wkrótce swoim nakładem Ludwika Żychlińskiego „Historję sejmów prowincjonalnych poznańskich."

— Warszawska „Encyklopedja powszechna" ukończyła już XXI tom i doszła do pierwszych sylab litery R. Jeżeli jak dotąd zeszyty bez przerwy wychodzić będą, można mieć niewątpliwą nadzieję, że w połowie roku 1867 całe to dzieło pomnikowe ukończone zostanie najwyżej w XXVI tomach. Wytrwałości wydawcy zawdzięczać je będziemy, który pomimo nieprzyjaźnych dla handlu księgarskiego okoliczności, potrafił to wydawnictwo tyle użyteczne i potrzebne dla ogółu utrzymać. Po ukończeniu całego dzieła zamierza S. Orgelbrand ogłaszać suplementa czyli dodatki i uzupełnienia.

— Hr. Leopold Starzeński, autor „Legata hetmana", „Banity" i kilku innych dramatów, przedstawionych na scenie naszej, napisał nowy dramat w trzech aktach wierszem p. t. Sen trefnisia z czasów Jana Kazimierza.

— Nakładem dyrekcji Dziennika Warszawskiego wyszła powieść J. A. Miniszewskiego p. t. „Ciernie kwitnące" z drzeworytami, we dwóch tomach.

— W Paryżu wydał Trentowski broszurę p. n. „Księgi zasadnicze rodu ludzkiego. Poradnik kieszonkowy przeznaczony obywatelom i obywatelkom polskim, a zawierający zasady wychowania rodu ludzkiego, zastósowany do chowanny polskiej."

— Wyszedł z druku: „Józefa Ungra Kalendarz Warszawski popularno-ilustrowany na rok 1866". Oprócz artykułów i drzeworytów znanych z Tygodnika Ilustrowanego mamy tu 12 drzeworytów nowych do artykułu Wacława Szymanowskiego p. n. „Charakterystyka butelki". Z artykułów po raz pierwszy drukowanych, wymienimy ważniejsze: J. Bartoszewicza: Wyjątek z pamiętników o Annie Jagiellońce; K. Kaszewskiego: Rozum i nauka i na czem polegają, czem się różnią i w czem doskonałość łączą; W. Grochowskiego: Domowa czy publiczna edukacja lepszą jest dla kobiet; L. Jenike: Oszczędność i gospodarstwo; F. M. Sobieszczańskiego: Krótka wiadomość historyczna o żydach w Warszawie od najdawniejszych czasów — oprócz wielu innych. Wydanie staranne, odbicie drzeworytów nic nie pozostawia do życzenia. Kalendarz ten zwykle szybko rozkupywanym bywa; jedna z gazet warszawskich doniosła, że w bardzo krótkim czasie rozkupiono 15.000 egzemplarzy.

— E. Dühring, gorliwy zwolennik a nawet ślepy wielbiciel amerykańskiego ekonomisty Carey'a, wydał niedawno nowe dzieło p. n. „Kapitał i Praca. Nowe odpowiedzi na stare pytania." Berlin 1865. Dühring uważa kwestję społeczną jako nieskończenie ważniejszą i trudniejszą do rozwiązania, niż wszystkie kwestje polityczne. Wszelkie społeczne cierpienia przypisuje Dühring przewadze kapitału nad pracą, i usiluje je rozwiązać nie stawianiem społecznych formułek, ale dalszym organicznem rozwijaniem stosunków utworzonych w dziejowym rozwoju. Żąda więc: 1) Politycznej reprezentacji klas roboczych — nie podając jednak sposobu, jakim ona może przyjść do skutku — 2) rozłączenia społeczeństwa od państwa czyli pociągnięcie należytej granicy dla kompetencji rządu; 3) utrzymania właściwego narodowego stanowiska (w myśl List'a); 4) ograniczenia a nie zniesienia praw, a mianowicie prawa własności. Zapomniał jednak autor o najważniejszej podstawie społecznego rozwoju, zapomniał o tem, co najbardziej może się przyczynić do należytego rozwiązania społecznej kwestji, t. j. o oświacie ludu. Póki oświata nie będzie uczyniona przystępną wszelkim warstwom społeczeństwa, póki ich nie przeniknie zupełnie — póty kwestja społeczna będzie zawsze jeszcze nierozwiązaną.

— Wyszło w Niemczech ponowne opracowanie Carey'a umiejętności społecznej p. n. „H. C. Carey's Lehrbuch der Volkswirthschaft und Socialwissenschaft. Vom Verfasser autorisirte und mit Zusätzen ergänzte deutsche Ausgabe von Carl Adler". Monachjum 1866. Jest to wyciąg z pierwszego niemieckiego wydania Carey'a, które wyszło w r. 1863.

— C. J. Bergins wydał: „Grundsätze der Finanzwissenschaft". Berlin 1865. Dzieło chwalone w Niemczech jako jedno z najlepszych.

— Dr. St A. Mascher, znany w Niemczech jako autor wielu dzieł o historji społecznych stosunków, wydał obecnie (Potsdam 1866) historję niemieckiego rękodzielnictwa od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych. Gdyby to u nas zajęto się takiemi pracami!

— W kwestji banków wyszły świeżo dwa nowe dzieła — jedno francuzkie: „Le marchè monètaire et ses crises par E. de Laveleye — Paris 1865"; drugie zaś niemieckie: „Banken und Krisen — von Ph. Geyer. Leipzig 1865." Laveleye podaje trzy przyczyny wszelkich przesileń: 1) zbyt wielki obieg kredytu, 2) za wielka ilość interesów zawieranych na termin (Zeitgeschäfte), 3) zbyt wielki odpływ pieniędzy. Geyer widzi jedną tylko przyczynę: przetężenie produkcji. Pierwszy poleca jako środek zaradczy przeciw przesileniu wczesne podniesienie diskonta; drugi zaś podaje sposób obliczenia, zapomocą którego można naprzód upewnić się o grożącem przesileniu.

— Pierwszy zeszyt z r. 1866 Hildebranda roczników gospodarstwa społecznego i statystyki zawiera: O umiejętnem zadaniu statystyki, akademicka mowa Dr. Hildebranda. — Pojęcie pieniędzy w ich historycznym i gospodarskim rozwoju, przez Dr. Scheel. — Do historji frekwentacji uniwersytetu w Jenie, Dr. W. Grimma. — Prawodawstwo ekonomiczne. — Zapiski literackie. — Rozmaitości.

— Dr. Antoni Randa, profesor uniwersytetu pragskiego wydał świeżo dzieło o posiadaniu podług austrjackiego prawa (Der Besitz nach österreichischem Rechte) Lipsk 1865. Autor stoi na tem stanowisku, iż zupełne nieuwzględnianie rzymskiego prawa tak dla umiejętności jak też i dla prawodawstwa musi być szkodliwem. Opiera on się głównie na Unger'ze Savigny'm i Bruns'ie. Główną uwagę zwraca na praktyczną stronę nauki o posiadaniu, gdyż — jak powiada — przyszedł do przekonania, że mimo pozornie prostych i jasnych postanowień kodeksu austrjackiego, sądowa praktyka nieraz jeszcze popada w błędy i złe zrozumienie rzeczy.

— Dr. Wacław Lustkandel, znany centralistyczny publicysta, wydał obecnie zbiór rozpraw o austrjackiem prawie publicznem p. n. „Abhandlungen aus dem österreichischen Staatsrecht". Wiedeń 1866.

Korespondencja redakcji.

P. N. z Cieszkowic: artykuł Pański przeszłego roku jeszcze nam nadesłany niezamieszczamy.

P. T. Prenumeratorów naszych, którzy prenumeratę na „Tygodnik naukowy" za styczeń lub i nadal zapłacili, upraszamy, by nadwyżki, jakie przez podniesienie cen prenumeraty na „Tygodnik naukowy i literacki" wynikły, czem spieszniej redakcji odesłać zechcieli.

Prenumeratę miejscową i zamiejscową przyjmuje także „Ajencja Czasu" we Lwowie.

Autorowie i Nakładcy, którzy sobie życzą, aby obszerniejsza wiadomość o wydanych dziełach zamieszczona była w naszem pismie, zechcą nadesłać Redakcji jeden egzemplarz dzieła.

Wydawca i odpow. redaktor F. B. Twardowski. Główny współpracownik Karol Widman. Z drukarni E. Winiarza.